



80 LAT ŁÓDZKICH UCZELNI CZĘŚĆ PIERWSZA



KRONIKA MIASTA ŁODZI

80 LAT ŁÓDZKICH UCZELNI CZĘŚĆ PIERWSZA



Słynne cebulice w parku im. Klepacza przed
Rektorem Politechniki Łódzkiej FOT. PATRYK WACŁAWIAK

SPIS TREŚCI

Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi

Redaktor naczelny:
Mariusz Goss

Redakcja:
Dorota Ceran
Anna Janocha
Patryk Waclawiak
Tomasz Walczak
Katarzyna Zielińska

Biuro Aktywności Miejskiej UMŁ
Kronika Miasta Łodzi, ul. Tuwima 10
Łódź, 90-003, tel. (42) 638-44-82
e-mail: p.waclawiak@uml.lodz.pl

Projekt okładki:
Patryk Waclawiak (grafika wygenerowana z wykorzystaniem AI)

Layout:
Marek Sitkiewicz
aktualizacja - Patryk Waclawiak

Skład i projekt numeru:
Patryk Waclawiak

Druk:
Print Profit Sp. z o.o.

Wykorzystano zdjęcia: prywatne zbiory autorów, archiwum UMŁ, archiwa łódzkich uczelni,
zbiory Archiwum Państwowego w Łodzi

ISSN 1231-5354

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

W tekstach przeznaczonych do publikacji zastrzegamy sobie prawo do zmian i skrótów.
Kronika Miasta Łodzi jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.

OD REDAKCJI	7
ŁÓDZKIE DROGI DO GAUDEAMUS... Arkadiusz Grzegorzczuk	11
O POLITECHNICE ŁÓDZKIEJ – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI	29
”BRAK WOLNYCH MIEJSC”, CZYLI KARA ZA POCHODZENIE Ze Stefanem Sztromajerem rozmawia Ryszard Bonisławski	35
O UNIWERSYTECIE MEDYCZNYM W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI	51
„MYJ PANI RĘCZE”... Z Romaną Mackiewicz rozmawia Maria Biegańska-Płonka	57
O UNIWERSYTECIE ŁÓDZKIM – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI	73
DZIEWCZYNY LUBIĄ BAD-BOYÓW I POETÓW Z Ryszardem Czubaczyńskim rozmawia Dorota Ceran	81
O PWSFTVIT W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI	99
WOLNY CZAS SPĘDZALIŚMY W SZKOLE Z Zofią Uzelac rozmawia Dorota Ceran	105
O AKADEMII MUZYCZNEJ W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI	123
ŚPIEWAJĄCO Z Jerzym Wolniakiem rozmawia Ryszard Bonisławski	129
O ASP W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI	143
W LABIRYNCIE WSPOMNIEŃ I TWÓRCZEJ WYOBRAŹNI Z Magdaleną Moskwą rozmawia Arkadiusz Grzegorzczuk	147



OD REDAKCJI



Osiemdziesiąt lat Łodzi akademickiej to jubileusz, który zasługuje na uwagę. Minęło bowiem osiem dekad, podczas których miasto sukcesywnie zmieniało, udoskonalalo swoje oblicze, często dzięki zaangażowaniu absolwentów rodzimych uczelni. Redakcja Kroniki Miasta Łodzi postanowiła wpisać się w to jubileuszowe świętowanie proponując wędrówkę przez dziesięciolecia. Powołaliśmy na przewodników tych, którzy swoją edukację związali właśnie z sześcioma łódzkimi, państwowymi uczelniami wyższymi – z Uniwersytetem Łódzkim, Politechniką Łódzką, Uniwersytetem Medycznym, Państwową Wyższą Szkołą Filmową, Telewizyjną i Teatralną, Akademią Muzyczną i Akademią Sztuk Pięknych.

Julian Tuwim użył niegdyś frazy – *wieczna zmienność w wiecznej jedności na duszy cokole*, która posłużyła za motto naszych rozważań. Bowiem ciągłość budowania i przekazywania kolejnym pokoleniom studentów wiedzy, ta odwieczna jedność w drodze do osiągnięcia jak najwyższych wartości pozostaje w ścisłym związku w podążaniu za zmianą, co więcej – w jej kreowaniu.

Rozmawiamy na łamach dwóch tomów Kroniki Miasta Łodzi z absolwentami sześciu uczelni porządkując rozmowy w systemie chronologicznym. Od studentów najstarszych roczników (dzisiaj są to często osoby, które przekroczyły 90. rok życia) aż po dwudziestokilkulatków zasilających dziś szeregi studenckiej, łódzkiej braci. Interesują nas początki ich studiowania zaraz po wstąpieniu na uczelnię, mistrzowie, pierwsze wykłady. Pytamy, jaka była niegdyś i jaka jest dzisiaj w ich oczach Łódź, czy miasto pozwoliło studentom na chwilę wytchnienia, czy dało możliwość spełniania marzeń i perspektyw.

Interesujący wydaje się nam także stopień studenckiego zaangażowania w życie polityczne, społeczne i obywatelskie na przestrzeni tych osiemdziesięciu lat. Klucz, który przyjęliśmy (przynajemy, że trudny logistycznie do zrealizowania) okazał się znakomity w budowaniu zwartej opowieści o osiemdziesięciu latach Łodzi akademickiej.

Nasze rozmowy poprzedza analiza losów Łodzi w kontekście zmian prowadzących do powstania uczelni wyższych, które w krótkim czasie zdobyły uznanie i prestiż.

Nie zabraknie na łamach naszej Kroniki także licznych ciekawostek i odrobiny statystyki, która wbrew pozorom, zwykle okazuje się fascynującą lekturą.

Zatem – zapraszamy na spacer po łódzkich uczelniach i na spotkanie z naszymi niezwykle gośćmi.

Redakcja



ŁÓDZKIE DROGI DO GAUDEAMUS...

Arkadiusz Grzegorczyk

*Gaudeamus igitur,
luvenes dum sumus, (...)
(Radujmy się więc,
dopókiśmy młodzi.)
(...) Vivat academia, vivant professores!*

Jubileusz 80-lecia państwowych uczelni wyższych w Łodzi to dobra okazja, by pokazać trudną drogę do edukacji akademickiej wielkiej przemysłowej aglomeracji, która w okresie międzywojennym była jedynym w Europie miastem, liczącym powyżej pół miliona mieszkańców, nieposiadającym uniwersytetu ani politechniki.

W tym kontekście powołanie do życia w Łodzi po II wojnie światowej kilku uczelni wyższych pokazuje znaczenie tych wydarzeń i skoku cywilizacyjnego, jaki się wtedy dokonał. To był milowy krok w rozwoju miasta, może najważniejszy dla jego przyszłości. W 80. rocznicę powołania Łodzi akademickiej warto prześledzić drogę do startu łódzkich szkół wyższych i pierwszego Gaudeamus Igitur. By docenić rangę tych wydarzeń, trzeba je osadzić w ciągu dynamicznego rozwoju i historii Łodzi – wielkiego, bogatego ośrodka przemysłu, ale jednocześnie fabrycznego, robotniczego, pełnego biedy miasta.

Opcja zerowa

Ciekawostką może być fakt, że już 11 listopada 1864 r. podjęto próbę utworzenia wyższej uczelni technicznej w Łodzi. Działka przy zbiegu ulic Przejazd i Dzikiej (obecnie Tuwima i Sienkiewicza) była oddana bezpłatnie pod budowę instytutu politechnicznego. Ogłoszono

Pod koniec lat 80. XIX w. w całym łódzkim przemyśle było jedynie dwóch technologów z wyższym wykształceniem zawodowym. Deficyt specjalistów był rezultatem braku odpowiednich szkół w kraju, toteż – pomimo protestów załóg fabrycznych – zatrudniano fachowców z zagranicy.

Oranżeria pałacu Karola Poznańskiego, który po II wojnie światowej zaadaptowano na Akademię Muzyczną FOT. PATRYK WACŁAWIAK



Ul. Piotrkowska w latach 90. XIX wieku (fot. Bronisław Wilkoszewski)

w tej sprawie deklarację podpisaną przez 300 obywateli; uzyskano na ten cel pożyczkę wysokości 75 tys. rubli. Jednak decyzja władz carskich o utworzeniu w Łodzi wyższej uczelni technicznej została wstrzymana. Powstał natomiast projekt utworzenia Instytutu Technicznego w Rydze, nawiązujący do projektu łódzkiego, co sprawiło, że przez kolejne dziesięciolecie szanse na utworzenie w Łodzi wyższej uczelni były znikome. Poza tym zaborca nie był zainteresowany kształceniem i podnoszeniem poziomu edukacji społeczeństwa polskiego.

Działyły oczywiście w czasach zaborów w naszym mieście szkoły rządowe czy prestiżowe gimnazja prywatne, ale dla półmilionowej aglomeracji – przy znacznie ograniczonym dostępie do edukacji mas robotniczych i biednych grup społecznych – była to zaledwie kropla w morzu powszechnie panującego analfabetyzmu. Edukacyjne zapóźnienia były ogromne. Dość powiedzieć, że po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w naszym mieście ponad połowa populacji mężczyzn i 2/3 kobiet nie potrafiło ani czytać, ani pisać! Przy takiej luce oświatowej marzenia o szkolnictwie akademickim musiały jeszcze poczekać.

Z drugiej strony, na przełomie XIX i XX w. rozbuchany łódzki przemysł włókienniczy cierpiał na niedobór specjalistów na stanowiskach technicznych. Pod koniec lat 80. XIX w. w całym łódzkim przemyśle było jedynie dwóch technologów z wyższym wykształceniem zawodowym. Deficyt specjalistów był rezultatem braku odpowiednich szkół w kraju, toteż – pomimo protestów załóg fabrycznych – zatrudniano fachowców z zagranicy. Na początku

XX w. na stanowiskach dyrektorów i kierowników byli już inżynierowie, ale wykształceni na politechnikach w Rydze i Petersburgu, w wyższych szkołach zawodowych w Chemnitz i Lipsku oraz w ośrodkach branżowych w Belgii i Francji. Co prawda, technologia włókna wykładana była na Politechnice Warszawskiej, której budowę wspierali także łódzcy przemysłowcy, ale ich synowie wyjeżdżali przeważnie na studia zagraniczne.

Lekcja do odrobienia

Po odzyskaniu niepodległości samorząd Łodzi pod wodzą prezydenta Aleksego Rzewskiego jako pierwszy w Polsce wprowadził obowiązek szkolny dotyczący powszechnego, bezpłatnego i obowiązkowego 7-klasowego nauczania. Zaczęto zatem budowanie edukacji w Łodzi od podstaw, a głównym zadaniem nowych władz było przełamanie niechęci rodzin robotniczych do edukacji dzieci. Bieda, inflacja, bezrobocie spychały na dalszy plan potrzeby oświatowe, zakup podręczników czy mundurków. Sporym problemem był również brak budynków szkolnych, które zaczęto wznosić w latach 20. XX w. i powstało ich kilkanaście. W większości projektantem tych obiektów, które do dziś służą uczniom, był znany architekt Łodzi Wiesław Lisowski. Łódź niewątpliwie odniosła spory sukces w upowszechnianiu szkolnictwa podstawowego, a dokonania były przedstawiane jako wzorcowe dla innych miast, choć potrzeby wciąż były ogromne. Mimo znaczącej ofensywy budowlanej na rzecz edukacji, to w 1937 r. ponad 70 szkół nadal działało w wynajętych pomieszczeniach, a tylko 39 miało samodzielne budynki. Działyły też szkoły mniejszości narodowych – Żydzi dysponowali 9 szkołami średnimi, jedną zawodową i 31 szkołami powszechnymi. Niemcy posiadali 30 szkół powszechnych, gimnazjum miejskie, 4 gimnazja żeńskie i seminarium nauczycielskie. Ogółem przed wojną w Łodzi działało 199 szkół podstawowych. Samorząd prowadził



Aleksy Rzewski - prezydent Łodzi, który zrewolucjonizował łódzkie szkolnictwo (fot. APŁ)

122 placówki, pozostałe były w rękach prywatnych. Ponadto w mieście działało 27 średnich szkół prywatnych, 4 państwowe oraz jedna samorządowa, do których uczęszczało 7,5 tys. uczniów. Istniało również 10 szkół zawodowych. Efekty reformy szkolnictwa były widoczne, bo w dwudziestoleciu międzywojennym odsetek analfabetów w Łodzi zmalał z 60 do 13 proc. Odradzała się także powoli w wolnej II RP polska kultura i prasa. Nadal pozostawały jednak w sferze marzeń ambicje akademickie Łodzi, choć władze miejskie zabiegały o utworzenie wyższej uczelni – politechniki, a w przyszłości uniwersytetu.

Pierwsze przymiarki

Z marzeń o uczelni wyższej miasto nie zrezygnowało, choć po 1918 r. budowano w Łodzi fundamenty szkolnictwa podstawowego i średniego. W grudniu 1921 r. powołano Instytut Nauczycielski Koła Łódzkiego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych w Łodzi, który był placówką kształcenia zawodowego i miał siedzibę w Szkole Zgromadzenia Kupców przy ul. Dzielnej 68 (obecnie Narutowicza). Pół roku wcześniej, 9 sierpnia z inicjatywy biskupa łódzkiego Wincentego Tymienieckiego erygowano Wyższe Seminarium Duchowne w Łodzi, które kształciło księży na potrzeby nowo utworzonej diecezji łódzkiej.

Ważnym krokiem na akademickiej ścieżce było otwarcie w Łodzi w styczniu 1925 r. Wyższej Szkoły Nauk Społecznych i Ekonomicznych, która realizowała swój program na dwóch wydziałach: społeczno-administracyjnym i finansowo-ekonomicznym. Dyrektorem uczelni był jej inicjator dr Edmund Reyman, jednocześnie dyrektor Instytutu Społecznego i Szkoły Nauk Politycznych



Kadra Wyższej Szkoły Nauk Społecznych i Ekonomicznych w Łodzi w 1928 r. (fot. APŁ)



W sali Rady Miejskiej w Łodzi odbyło się uroczyste otwarcie Studium dla księgowych Wolnej Wszechnicy Polskiej, oddział w Łodzi. Siedzą: rektor prof. dr. Vieweger (w środku), dziekan prof. dr. Maliniak, dyrektor Studium prof. Żabicki, inżynier K. Kinel, dyrektor Izby Przemysłowo-Handlowej K. Bajer, delegaci związków: prezes C. Borysławski, W. Dynenson. Stoją: prezes A. Wyrwich, Fr. Pawlak, starosta O. Guentzel, wice-starostowie: S. Kostowski i Kałużny.

Zdjęcie i informacja prasowa o otwarciu nowego Studium w ramach Wolnej Wszechnicy Polskiej, oddziału w Łodzi (fot. arch. Głos Poranny, 1931 r.)

w Warszawie, który w przemówieniu inauguracyjnym podkreślił, że *Łódź, miasto rozwoju, siedziba wielkiego handlu i przemysłu, od dawna czekała na taki dzień, bo oto ziściły się wymarzone, a niedoścignione dotychczas zamiary zrealizowania od dawna snutych projektów otwarcia tak niezbędnej dla miasta wyższej uczelni*. Jednak zarówno szkoła stołeczna, jak i łódzka, wzorowane na paryskiej Szkole Nauk Politycznych zaliczały się do wyższych uczelni prywatnych o ograniczonym zasięgu. W WSNSiE studiowało do 1928 r. kilkaset osób, a dyplomy otrzymało 26 absolwentów, wśród których był również pierwszy prezydent miasta Aleksy Rzewski, wprowadzający wcześniej nowatorski program odnowy łódzkiej oświaty.

Widocznym rezultatem wieloletnich starań władz miasta było otwarcie 28 października 1928 r. Oddziału Łódzkiego Wolnej Wszechnicy Polskiej, która posiadała częściowe prawa uczelni wyższej i można było tam studiować na czterech wydziałach: humanistycznym, pedagogicznym oraz nauk politycznych i społecznych, a potem także matematyczno-przyrodniczym. Uzupełnieniem było Collegium Publicum, które realizowało cykl bezpłatnych odczytów w sali obrad Rady Miejskiej. Rektorem Wolnej Wszechnicy Polskiej był biolog, prof. dr Teodor Vieweger. Z inspiracji magistratu w listopadzie 1928 r. utworzono we współpracy z kadrą WWP – Instytut Prawa Administracyjnego,

który dokształcał przez dwa lata pracowników samorządowych i państwowych, a wykłady odbywały się w sali magistratu.

Siedzibą filii Wolnej Wszechnicy Polskiej był początkowo budynek szkoły przy ul. Nowo-Targowej (Sterlinga), a później podjęto prace projektowe budowy osobnej siedziby przy ul. POW 3/5 (dziś gmach UŁ). Wszechnica pełny statut akademicki uzyskała dopiero w 1937 r. i w tym czasie rozpoczęto prace budowlane. Na rok akademicki 1939/40 zgłosiło się ok. tysiąca studentów, ale wybuch wojny uniemożliwił rozruch pierwszej w Łodzi uczelni wyższej.

Nowe i stare problemy

Zaraz po wojnie na krótki czas Łódź stała się nieformalną stolicą kraju, pełniąc rolę ośrodka odradzającego się życia kulturalnego. Niezniszczone mieszkania i lokale w okazałych kamienicach przyciągały do naszego miasta rozmaite instytucje, organizacje, struktury nowej władzy. Przyjechało

wielu ludzi nauki, artystów, ulokowano w mieście wydawnictwa i redakcje prasowe, grały teatry, kręcono pierwsze filmy. Być może ten trzyletni, „stołeczny” epizod dał Łodzi nowy impuls i pobudził aspiracje miasta, kojarzonego dotąd z nieco zaniedbanym ośrodkiem robotniczym i przemysłowym.

W wyniku dekretów nowej władzy, fabryczne miasto miało się stać znaczącym w kraju ośrodkiem kultury i nauki, a pierwszym znakiem

dokonujących się w Łodzi przemian było powołanie do życia wyższych uczelni, choć tradycje akademickie były wątłe, by nie powiedzieć żadne, nie licząc wspomnianej, przedwojennej filii Wolnej

Wszechnicy Polskiej. Była jednak spora grupa młodzieży, która rozpoczęła lub ukończyła gimnazjum jeszcze przed wojną i legitymowała się tzw. małą albo dużą maturą i otrzymała możliwość dalszej nauki na poziomie akademickim w powstałych uczelniach. Niektórzy uzupełniali wykształcenie w trybie przyspieszonym, choć – mimo przedwojennej reformy oświatowej – Łódź nadal miała spore zapóźnienia w tym względzie i równoległe z tworzeniem ośrodka akademickiego, należało się uporać również z tym problemem. Do lat 50. XX w. ok. 10 proc. mieszkańców nie uczęszczało do żadnej szkoły, a 1/3 populacji nie ukończyła szkoły podstawowej, natomiast około 15 tys. osób w wieku poniżej 35 lat w minimalnym stopniu potrafiło pisać i czytać. W pierwszych latach powojennych podjęto w całym kraju walkę z analfabetyzmem i wprowadzono powszechny obowiązek szkolny. Łódź rozpoczęła ponownie odbudowę edukacji raczej ze słabą bazą materialną, pomimo budowy w okresie międzywojennym kilkunastu obiektów szkolnych. To było jednak wciąż za mało dla odżywającego ponownie przemysłowego miasta, liczącego ponad pół miliona mieszkańców.

Start Łodzi akademickiej

Cechą rozwoju Łodzi w ujęciu historycznym jest jej dynamika oraz tempo przemian i tak było również w przypadku utworzenia ośrodka akademickiego. To, co nie udało się przez pół wieku, w krótkim czasie, zaledwie w kilka miesięcy po zakończeniu wojny zaowocowało niemal jednoczesnym uruchomieniem kilku szkół wyższych w mieście, co było ogromnym wyzwaniem organizacyjnym i logistycznym. W 1945 r. dekretem Rady Ministrów z 24 maja 1945 r. powołane zostały Uniwersytet Łódzki i Politechnika Łódzka. W tym samym roku utworzono też filie Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego



Pierwszy gmach główny Politechniki Łódzkiej
(fot. Stefan Sztromajer)



Basen techniczny przed budynkiem
Politechniki Łódzkiej (fot. APŁ)

Zaraz po wojnie na krótki czas Łódź stała się nieformalną stolicą kraju, pełniąc rolę ośrodka odradzającego się życia kulturalnego. Niezniszczone mieszkania i lokale w okazałych kamienicach przyciągały do naszego miasta rozmaite instytucje, organizacje, struktury nowej władzy.

i warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej. Pierwsza zakończyła działalność w 1950 r., a filia SGH w 1950 r. została przekształcona w samodzielną uczelnię pod nazwą Wyższa Szkoła Ekonomiczna, która od 1 września 1961 r. weszła w skład Uniwersytetu Łódzkiego jako wydział ekonomiczno-socjologiczny. UŁ wchłonął również działającą do 1956 r. Wyższą Szkołę Pedagogiczną.

5 lipca 1945 r. rozpoczęła działalność Wyższa Szkoła Teatralna, która połączyła się z Wyższą Szkołą Filmową, działającą od czerwca 1948 r., i w latach 1949-1958 nosiła nazwę: Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, która w 1950 r. otrzymała uprawnienia akademickie. 1 października 1945 r. powołano Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych (od 1996 r. ASP). Na przełomie 1945/46 r. z istniejącego od marca 1945 r. Państwowego Konserwatorium Muzycznego utworzono Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną (od 1982 r. Akademia Muzyczna). W 1950 r., z wyodrębnionych wydziałów medycznych Uniwersytetu Łódzkiego, powołano Akademię Medyczną z dodatkowym fakultetem wojskowym, a 19 maja 1958 r. powstała w Łodzi jedyna w Polsce Wojskowa Akademia Medyczna.

Galimatias był spory, pracy dużo, ale błyskawiczne powołanie do życia Łodzi akademickiej w bardzo szerokim wymiarze stało się faktem.

Studenckie życie

Ze względu na brak odpowiednich pomieszczeń, w pierwszym okresie lokowano uczelnie w gmachach pofabrycznych, biurowych i kamienicach. Lepsze obiekty otrzymały jedynie uczelnie artystyczne, które umieszczono w zespołach pałacowych – Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w pałacu Karola Poznańskiego przy ul. Gdańskiej, a Wyższą Szkołę Filmową i Teatralną w pałacu Oskara Kona przy ul. Targowej. Politechnika Łódzka objęła natomiast duży, dawny kompleks fabryczny Szai Rosenblatta pomiędzy ulicami Gdańską a Żeromskiego, obok którego wzniesiono następnie kilka nowych obiektów oraz domów studenckich, tworząc przy zmodernizowanej na początku lat 60. ul. Żeromskiego, przekształconej wówczas na tym odcinku w al. Politechniki, w zwartą dzielnicę politechniczną i kampus uczelniany. W odróżnieniu od PŁ, Uniwersytet Łódzki przejął w posiadanie wiele rozproszonych po całym mieście obiektów o różnym dawniej przeznaczeniu. W podobnej sytuacji była później Akademia Medyczna. Zanim wzniesiono odpowiednie gmachy, uczelnie te wybudowały wspólnie na początku lat 50. XX w. niewielkie, lecz charakterystyczne osiedle domów studenckich przy ul. Bystrzyckiej, przemianowanej później na ul. Lumumby, czyli popularne,



Studenci pierwszych roczników historii Uniwersytetu Łódzkiego (fot. arch. UŁ)

istniejące do dziś Lumumbowo. Uniwersytet Łódzki dopiero na początku lat 60. doczekał się wydzielania na jego potrzeby terenów po wschodniej stronie ul. Matejki. Pierwszym gmachem, który tam wzniesiono w 1959 r., był nowoczesny na owe czasy budynek Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego (BUŁ). Większymi przywilejami cieszyła się Wojskowa Akademia Medyczna, dla której zbudowano nowe obiekty w dwóch oddalonych od siebie miejscach. Budynki dydaktyczne i badawcze wzniesiono na dawnym polu ćwiczeń przy przedwojennym Placu Hallera (wówczas Plac 9 Maja), a koszarowe domy



Studenci prawa Uniwersytetu Łódzkiego po zajęciach w sądzie, 1945 r. (fot. arch. St. Rodzińskiego)



Prezentacja czapek studenckich przed siedzibą „Bratniaka” na pierwszym balu studenckim w 1945 r. (fot. APŁ)

studenckie przy ul. Źródłowej. W efekcie tych ważnych zmian, na początku lat 50. XX w. działało w Łodzi 10 szkół wyższych, co dawało trzecie miejsce w kraju, po Warszawie (16 szkół wyższych) i Krakowie (12). W późniejszych latach ustaliła się stabilna liczba 7 szkół wyższych w Łodzi (UŁ, PŁ, Akademia Medyczna, WAM i trzy wyższe szkoły artystyczne).

Tak wygląda w największym skrócie długa i trudna droga miasta do uzyskania statusu ważnego ośrodka naukowego i dydaktycznego na mapie kraju. I tę pozycję Łódź zachowuje do dziś, choć przez osiem dekad sporo się zmieniło w ofercie i sposobie kształcenia.

Każda z wymienionych państwowych uczelni wyższych w Łodzi ma swoją własną historię, opisaną w opasłych annałach, wyznaczoną nazwiskami znanych profesorów, badaczy, wykładowców, licznymi sukcesami, ale przede wszystkim zapisaną w pamięci wielu pokoleń studentów i dziesiątków roczników absolwentów, których wspomnienia przy okazji jubileuszu 80-lecia Łodzi akademickiej zamieszczamy w tym wydaniu Kroniki Miasta Łodzi.

BUŁ-a

To sympatyczna nazwa Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego (BUŁ), dobrze znana łódzkim studentom od kilkudziesięciu lat, dysponująca największym zbiorem w województwie łódzkim, obecnie ok. 3,5 mln woluminów. Powstała w 1945 r., ale od 1960 r. posiada własny budynek, przy ul. Matejki 32/38, określany mianem perełki modernizmu, zaprojektowany przez architekta łódzkiego Edmunda Orlika, asa pancernego z okresu kampanii wrześniowej 1939 r. Budynek to jeden z architektonicznych symboli początków Łodzi akademickiej. W 2006 r. oddano do użytku nowy gmach umożliwiający użytkownikom pracę i naukę w strefie wolnego dostępu. W skład BUŁ wchodzi ponadto sieć 58 bibliotek zakładowych na różnych wydziałach.

„Filmówka”

To hasło nie wymaga chyba żadnych objaśnień, bo w Łodzi i w Polsce każdy wie, co znaczy „Filmówka” i gdzie się znajduje. Oprócz popularnego określenia nazwy sławnej uczelni artystycznej, czyli Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera, to także synonim prestiżu i jakości kształcenia. Szkoła powstawała etapami w latach 1945–1948 r. i obrosła legendą, a kolejne roczniki absolwentów odzwierciedlają historię polskiego kina. Wybitni aktorzy, reżyserzy, operatorzy, scenarzyści, specjaliści od animacji, kierownicy produkcji, montażyści przewinęli się przez mury szkoły filmowej, ale także przez nasze miasto, a dzięki uczelni Łódź przez lata umacniała pozycję stolicy polskiego kina, stanowiąc do dziś jeden z ostatnich bastionów dawnego HollyŁódź. Mitem obrosły światowe kariery wielu twórców jak również sławne... schody w rektoracie szkoły, czyli w dawnym pałacu Oskara Kona przy ul. Targowej 61/63.

„Plastyk”

Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi bywa nazywana popularnie „Plastykiem”. Powstała w 1945 r. jako Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Ogromny wpływ na jej kształt wywarł Władysław Strzemiński, nauczający tam w latach 1945–1950. PWSSP przyjęła jego imię w 1988 r., a w 1996 r. otrzymała status ASP. W 1976 r. uczelnia, mieszcząca się wcześniej w kamienicy przy ul. Narutowicza 77, otrzymała nową siedzibę, wzniesioną wg projektu Bolesława Kardaszewskiego. Monumentalny, nowoczesny gmach stanowi do dziś jedyny w Polsce przykład kompleksu zrealizowanego na potrzeby wielowydziałowej uczelni artystycznej. W 2013 r. otwarto dwa nowe kompleksy o pow. 10 tys. m kw. – Centrum Nauki i Sztuki oraz Centrum Promocji Mody. Projekt został opracowany na podstawie makiet Katarzyny Kobro z lat 30. XX w.



Studenci podczas nauki w bibliotece Politechniki Łódzkiej (fot. APŁ)



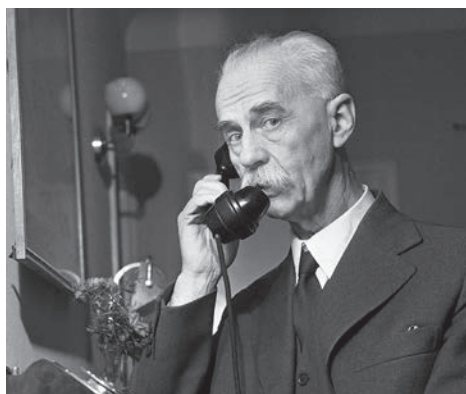
Studenci Akademii Sztuk Pięknych w czasie zajęć na nowej uczelni (fot. APŁ)

Pierwsi rektorzy łódzkich uczelni wyższych odegrali ważną rolę w trudnym okresie ich powstawania. Warto przypomnieć te postacie.

Tadeusz Kotarbiński (1886–1981) – filozof, logik, etyk, czołowy przedstawiciel szkoły lwowsko-warszawskiej, autor koncepcji reizmu, twórca etyki niezależnej oraz koncepcji opiekuna społecznego. Pierwszy rektor Uniwersytetu Łódzkiego, największej łódzkiej uczelni w latach 1945–1949.

Bohdan Stefanowski (1883–1976) – profesor termodynamiki, współtwórca i pierwszy rektor Politechniki Łódzkiej. W 1945 r. został powołany na organizatora i pierwszego rektora PŁ. Już 8 maja 1945 r. przybył do Łodzi, rozpoczynając swój trzyletni okres wyjątkowej pracy przy tworzeniu uczelni politechnicznej z trzema wydziałami: mechanicznym, elektrycznym, chemicznym oraz oddziałem włókienniczym. W 1949 r. powrócił do Warszawy, gdzie kontynuował karierę naukową w PAN. Otrzymał doktoraty honoris causa PŁ i PW. W Łodzi ma swoją ulicę i pomnik na terenie kampusu uczelni.

Akademia Medyczna w Łodzi powstała na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z 24 października 1949 r. w sprawie założenia Akademii Lekarskich w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i Lublinie, Łodzi i Wrocławiu, które przekształciło od stycznia 1950 r. Wydziały: Lekarski, Farmaceutyczny i Stomatologiczny działające od 1945 r. na Uniwersytecie Łódzkim w samodzielną uczelnię publiczną. Pierwszym rektorem AM w Łodzi został **prof. Emil Paluch** (1904–1954), toksykolog i higienista, który pełnił tę funkcję w latach 1950–1954.



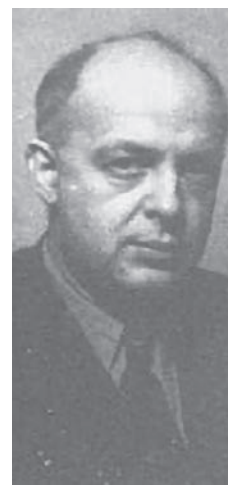
Tadeusz Kotarbiński - pierwszy rektor UŁ (fot. APŁ)



Bohdan Stefanowski - pierwszy rektor PŁ (fot. APŁ)

W przypadku Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera sprawa jest bardziej złożona, bo uczelnia w obecnym kształcie powstała w 1958 r. w wyniku połączenia dwóch łódzkich uczelni, które działały w mieście od 1948 r. – Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej (w 1954 r. przemianowanej na Państwową Wyższą Szkołę Teatralną im. Leona Schillera) oraz Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, wyrosłej na bazie kursu filmowego i wydziału w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Organizatorami i prekursorami tworzenia w Łodzi uczelni filmowej byli m.in. Marian Wimmer, Antoni Bohdziewicz, a także formalnie **Leon Ormezowski** (1896–1949) – malarz i pedagog, pierwszy rektor, a właściwie dyrektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi w latach 1946–1949, gdzie pierwotnie powstał Wydział Filmowy. W 1949 r. Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa otrzymała status akademicki i wówczas rektorem formalnie został **prof. Jerzy Toeplitz** (1909–1995) – historyk filmu, krytyk, współtwórca szkoły, piastujący to stanowisko w latach 1949–1952 oraz 1957–1968. Po wydarzeniach w 1968 r. został pozbawiony stanowiska i wyjechał do Australii, gdzie współtworzył Australijską Szkołę Filmową, Telewizyjną i Radiową w Sydney.

Pierwszym dyrektorem Państwowego Konserwatorium Muzycznego w Łodzi (1945–1946), a następnie pierwszym rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej był **Kazimierz Wilkomirski** (1900–1995) – znakomity wiołonczelista wirtuoz, kompozytor, dyrygent i pedagog.



Emil Paluch - pierwszy rektor UMED (fot. APŁ)



Leon Ormezowski - pierwszy rektor PWSSP (ASP) (fot. APŁ)



Jerzy Toeplitz - pierwszy rektor PWSFTViT (fot. APŁ)



Kazimierz Wilkomirski - pierwszy rektor PWSM (fot. APŁ)

POLITECHNIKA ŁÓDZKA



Budynek Administracji Rektorskiej
Politechniki Łódzkiej FOT. PATRYK WACŁAWIAK



O POLITECHNICE ŁÓDZKIEJ – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI

Dąb Fabrykant (Jagosz) w Parku im. Klepacza w sąsiedztwie
budynków Rektoratu Politechniki Łódzkiej FOT. PATRYK WACŁAWIAK



Rektorat Politechniki Łódzkiej FOT. PATRYK WACŁAWIAK

Na samym początku drogi

Pomysł utworzenia uczelni politechnicznej w Łodzi ma swoje głębokie korzenie we włókienniczej tradycji miasta. Już w drugiej połowie XIX wieku zrodził się tu projekt Instytutu Politechnicznego, a osobą odpowiedzialną za wdrożenie projektu w życie był Teodor Witte¹, ówczesny dyrektor główny Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego. Wszystko zostało zorganizowane – rozstrzygnięto konkurs na budowę gmachu na wskazanym terenie, wynajęto pomieszczenia, zatrudniono kadrę profesorską, zapewniono wyposażenie w niezbędne urządzenia – także o charakterze laboratoryjnym, a przyszli studenci mieli stawić się jesienią 1865 r. na zajęcia. Niestety, car Aleksander II Romanow – zirytowany postawą Polaków, którzy walczyli o niepodległość dwa lata wcześniej w powstaniu styczniowym – zablokował cały projekt i nie wyraził zgody na utworzenie Instytutu Politechnicznego.



Car Aleksander II blokował powstanie w Łodzi Instytutu Politechnicznego jeszcze w XIX w. (fot. domena publiczna)

Łódź jednak nie dawała za wygraną i po jedenastu latach projekt powrócił pod obrady Rady Miejskiej w styczniu 1876 r. I po raz kolejny, mimo deklaracji przemysłowców o pomocy finansowej – upadł torpedowany przez carską władzę.

Władze polskie, po odzyskaniu niepodległości, nie miały wiele więcej łaskawości w tej materii. W 1921 r. wpłynął do Sejmu Rzeczypospolitej wniosek o zezwolenie na utworzenie Politechniki Łódzkiej. Wniosek został rozstrzygnięty negatywnie.

Politechnika Łódzka startowała dosłownie na gruzach świata, który odszedł, wykorzystując budynki po fabrykach, magazynach i dawnej szkole włókienniczej.

¹ pierwszy kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego



Pierwszy budynek główny Politechniki Łódzkiej przy ul. Stefanowskiego. Dawna fabryka Szai Rosenblatta (fot. arch. Stefana Sztromajera)

Potrzebujemy inżynierów! Natychmiast!

Marzenie o uczelni zrealizowało się dopiero po II wojnie światowej. Politechnika Łódzka została powołana do życia niemalże natychmiast po zakończeniu II wojny światowej, bo już 24 maja 1945 r.

Początkowo studenci mogli wybrać edukację na jednym z czterech wydziałów – Mechanicznym, Elektrycznym, Chemicznym lub Włókienniczym. I od samego początku ta oferta spotkała się z dużym zainteresowaniem. Na pierwszy rok bowiem przyjęto 525 studentów. W ramach czterech wydziałów uczelni stworzono 33 katedry prowadzone przez 33 profesorów, 15 adiunktów i 53 asystentów. Początkowo zajęcia odbywały się w budynkach dawnej fabryki Szai Rosenblatta.

Politechnika Łódzka startowała dosłownie na gruzach świata, który odszedł, wykorzystując budynki po fabrykach, magazynach i dawnej szkole włókienniczej. Łódź od lat odczuwała brak uczelni o charakterze technicznym i od lat o nią zabiegała, więc PŁ stworzono ekspresowo, jakby miasto nagle wykrzychało: „Potrzebuję inżynierów, natychmiast!”

„Steampunk po polsku” – jedyny taki kampus w Polsce

Wiecie, czym jest steampunk? Zgodnie z definicją *steampunk* to gatunek science fiction oraz nurt stylistyczny w kulturze (literatura, film, komiks, moda), odmiana fantastyki naukowej inspirowana XIX-wieczną erą wiktoriańską. Nazwa pochodzi od słowa „steam” czyli pary i nawiązuje stylistyką, estetyką i techniką do maszyn „epoki pary”. To dzisiaj także naśladowanie dziewiętnastowiecznej stylistyki, wyobrażenia świata, którego technologia nie jest oparta na elektronice, lecz na mechanice.

W wielu obszarach architektura Łodzi nawiązuje do tego nurtu, bowiem wiele obiektów, to oryginalne zespoły fabryczne z czasów żelaza i pary, inne natomiast są ich współczesną kontynuacją czy architektonicznym nawiązaniem.

Kampus Politechniki Łódzkiej, zwłaszcza pierwsze budynki należące do uczelni, jak fabryka Rosenblatta czy zabudowania imperium Ludwika Geyera oraz zrewitalizowane czy nowo powstałe obiekty pozostają bez wątpienia w stylistyce tzw. „steampunku po polsku”².

Tekstronika noszona

Łódź nie byłaby sobą, gdyby jej Politechnika nie była potęgą tektroniki, blisko związanej z przemysłem włókienniczym. To fascynująca (także dla laików) interdyscyplinarna dziedzina łącząca inżynierię materiałową, elektronikę, włókiennictwo i informatykę. Jej celem jest tworzenie inteligentnych materiałów tektronicznych. Inteligentnych w sensie niemal dosłownym! Ponieważ ich zastosowanie polega na reakcji na bodźce zewnętrzne, takie jak światło, temperatura czy nacisk. A to już jest niemal jak magia: wyobraźmy sobie płaszcz, który informuje nas, że mamy zbyt wysoką temperaturę... To tzw. tektronika noszona. Na stronie PŁ czytamy: *Dzięki elektrodom umieszczonym np. w skarpetkach, rękawiczkach czy specjalnych opaskach można stworzyć system pobudzania czujności kierowcy, czy rękawicę pozwalającą na konwersję języka migowego w język mówiony. (...) To pierwszy taki kierunek akademicki w Polsce i jeden z niewielu tego rodzaju w Europie*³.

Tektronika stanowi dziedzinę nauki, która znajduje zastosowanie w ochronie zdrowia (np. zdalne monitorowanie pacjentów, rehabilitacja i... nasz inteligentny płaszcz), sporcie, a także w przemyśle i oczywiście – w wojsku.

Już w czasach PRL Wydział Włókienniczy był tak ważny, że projektowane tam tkaniny i technologie trafiały do przemysłu zbrojeniowego i kosmicznego bloku wschodniego. Tak, Łódź miała swój udział w lotach w kosmos, ale o tym opowiemy w kolejnym tomie Kroniki Miasta Łodzi.

² <https://gadzetomania.pl/steampunk-po-polsku-mechanika-i-para-zamiast-elektrycznosc>

³ <https://rekrutacja.p.lodz.pl/kierunek/i-stopien-tektronika>

Odrobina statystyki⁴

Wydziały	9
Dyscypliny naukowe	12
Kierunki studiów	69
Profesorowie	306
Nauczyciele akademicki	1206
Studenci	10488



Nowy mural na jednym z budynków PŁ (fot. Paweł Łacheta)



Kampus B Politechniki Łódzkiej. Po lewej Wydział Organizacji i Zarządzania, na wprost Instytut Architektury i Urbanistyki PŁ, w tle Zatoka Sportu (fot. Andrzej Janecki)



Centrum Papiernictwa i Poligrafii Politechniki Łódzkiej oraz Biblioteka PŁ (fot. Andrzej Janecki)



Studenci koła naukowego "Raptors" - twórcy m.in. łazika marsjańskiego (fot. Paweł Łacheta)

⁴ stan na grudzień 2025 r.

"BRAK WOLNYCH MIEJSC", CZYLI KARA ZA POCHODZENIE

Wywiad ze Stefanem Sztromajerem

Absolwentem Politechniki Łódzkiej z 1954 roku,
fotografem, wykładowcą akademickim

Rozmawia – Ryszard Bonisławski



FOT. RYSZARD BONISŁAWSKI

Stefan Sztromajer – urodzony w 1931 r. w Łodzi, syn znanego adwokata i działaczki niepodległościowej, absolwent I LO i Politechniki Łódzkiej, dr inż. chemii, początkowo związany z przemysłem, jest autorem kilku wynalazków. Od 1961 r. pracownik i wykładowca Wydziału Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska Politechniki Łódzkiej, gdzie również pracowała żona Zofia – geolog. Tysiące zdjęć uzupełniało treść ich dysertacji naukowych i wykładów. Fotografia to najważniejsza, obok motoryzacji i historii, pasja Stefana Sztromajera. Aparat fotograficzny był od zawsze nieodłącznym towarzyszem spacerów i wypraw. Jego fotografie, a wykonał ich kilkadziesiąt tysięcy (sic!), to prawdziwa kronika łódzkich przemian i wydarzeń. Część z nich możemy oglądać w wydawnictwach albumowych i w zbiorach ikonograficznych NAC. Od dzieciństwa był związany z działalnością niepodległościową, był działaczem pierwszej Solidarności zaprzyjaźnionym z wieloma politykami. Często spotykał się z nimi w swoim mieszkaniu, w tym samym, w którym przyszedł na świat...

Artur Rubinstein.

Ryszard Bonisławski: Kilkadziesiąt lat temu czytałem wspomnieniową książkę Mieczysława Woźniakowskiego, w której opisał dwóch uczniów, którzy podczas pierwszomajowej akademii urazili swoimi wypowiedziami „majestat” przemawiającego do młodzieży partyjnego działacza. Dyrektor potraktował obu, jak uważał – po ojcowsku i zachęcił do zmiany szkoły. Wiem dziś, że jednym z tych uczniów był Stefan Sztromajer. Na którą szkołę padł wybór?

Najlepsze było pochodzenie robotnicze lub chłopskie. Znane były przypadki wielokrotnej odmowy przyjęcia na studia „z powodu braku miejsc”. Każdy wiedział, że oznaczało to właśnie brak punktów dodatkowych. Znalazłem się w mało komfortowej sytuacji. Na żadne dodatkowe punkty nie mogłem liczyć.

Stefan Sztromajer: Na Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Mikołaja Kopernika, które różniło się radykalnie od mojej poprzedniej szkoły. Panował tu zupełnie inny, życzliwszy klimat. Szkoła była mniejsza i skromniejsza od tamtej, lecz nie działała tu „kuźnia charakterów” prowadzona tak

ochoczo przez dyrektora Woźniakowskiego i jego akolitów. Z radością odkryłem, że uczy się tu mój przyjaciel Staś Błoński, który wraz z pięcioma kolegami został przeniesiony z gimnazjum im. Narutowicza, częściowo zajętego przez Szkołę Filmową. Wraz ze Stasiem przybyli: Osman Achmatowicz, Bogdan Dawidowicz, Wiesio Kowalski i Jurek Kunce. Z innych szkół też przeniosła się spora grupa, tak że w naszej klasie była znaczna część nowych uczniów. Z Wiesiem i Osmanem wkrótce się zaprzyjaźniłem.

A jak traktowali was profesorowie?

Profesorowie w „Koperniku” różnili się od moich poprzednich preceptorów, widać nie ulegli nowym obyczajom. Profesor Jodłowska, polonistka, mimo swych deklarowanych lewicowych poglądów podkreślała, że istnieją także inne. Właśnie w tym czasie przerabialiśmy „Popiół i diament”, która to powieść wywołała gorącą dyskusję. Chemik, profesor Regulski, poprzednio adiunkt Politechniki Lwowskiej, prowadził wykłady w stylu akademickim, wpłatając w nie często anegdoty, które bardzo ożywiały lekcje. Inni też byli doskonałymi pedagogami, ale nie chcę wydłużać opowieści o nich, zainteresowanych odsyłam do jubileuszowych wydawnictw I LO.

Nowa szkoła, to koniec udręki?

Wydawałoby się, że w takim przyjaznym klimacie powinienem zapomnieć o swoich poprzednich kłopotach. Ale nie! Wszak owego 1 czerwca 1947 r. dyrektor Woźniakowski otwarcie obwinił dom i rodzinę za wybryki polityczne uczniów. Represje nie zakończyły się wraz ze zmianą przeze mnie szkoły. Ówczesne władze – zgodnie z doktryną – konsekwentnie podjęły działania zmierzające do ukarania za mój występki ojca. Jednak nie było to łatwe. Ojciec miał nieskazitelną opinię, pełnił odpowiedzialne funkcje w dziale prawnym Zarządu Miejskiego, a od maja 1945 r. zasiadał w Naczelnej Radzie Adwokackiej – żyłem wtedy bardziej własnym życiem i nie zdawałem sobie sprawy, jak był z tego powodu szczęśliwy. Dopiero po wielu latach, przeglądając pozostawione dokumenty, połączyłem daty i różne wydarzenia ułożyły mi się wtedy w spójną całość. Zostałem zmuszony do opuszczenia szkoły we wrześniu 1947 r. Ojciec dopiero co został kierownikiem działu prawnego w łódzkim magistracie, był bardzo z tego zadowolony. Kochał swoją pracę. Dlaczego więc już 29 września następnego roku złożył podanie o przeniesienie go w stan



Stefan Sztromajer w szkolnej czapce I LO w Łodzi (fot. archiwum S. Sztromajera)

spoczynku i 1 października 1948 r. odszedł na emeryturę z uwagi na wiek? Miał wtedy niespełna sześćdziesiąt lat. Zgodę na to wyraził wiceprezydent miasta, Stanisław Duniak.

To był niespokojny czas rodzenia się komunistycznej podejrzliwości, wielu osobom złamano kręgosłupy. Może warto zajrzeć do dokumentów zgromadzonych w IPN?

Oczywiście zajrzałem, poprosiłem o swoją teczkę (byłem działaczem „Solidarności”). Podano mi omyłkowo teczkę ojca, też Stefana Sztromajera. Z ciekawością ją przejrzałem. W aktach ojca (Ld 011/1388) znalazłem informację, że wzbudzał podejrzenia z uwagi na fakt, iż ambasada USA polecała go swoim obywatelom jako dobrego prawnika znającego trzy zachodnie języki. Wprawdzie jeszcze w 1948 r. był „nierejestrowany”, ale już wtedy wydano dyspozycję, żeby część materiałów przekazać do Wydziału X, „jako na byłego sędziego śledczego sprzed 1939 r.” W latach pięćdziesiątych służby bezpieczeństwa uznały, że „należy na Sztromajera Stefana założyć sprawę ewidencyjno-obszerną, po uprzednim zaktualizowaniu jego miejsca pracy i zamieszkania, oraz ustaleniu stanu zdrowia”. A więc zainteresowanie

służb bezpieczeństwa ojcem zaczęło się w 1948 r. Rzuca to światło na dalsze nasze losy. Staje się dla mnie jasne, dlaczego ojciec w jakiś czas po moim przejściu do „Kopernika” odbył ze mną poważną rozmowę, w której bardzo mnie nawoływał do przezorności i prosił o jak najdalej idącą uwagę w kontaktach z otoczeniem.

Czy próbowano w domu pokierować Pańskim wyborem kierunku studiów?

Nie, gdy nadszedł czas wyboru kierunku studiów dano mi wolną rękę. W 1949 r. miałem świadomość, że aby studiować, trzeba było spełnić szereg warunków. Poza maturą i zdany egzamin wstępny należało mieć właściwe pochodzenie społeczne, za które otrzymywało się punkty dodatkowe. Najlepsze było pochodzenie robotnicze lub chłopskie. Znane były przypadki wielokrotnej odmowy przyjęcia na studia „z powodu braku miejsc”. Każdy wiedział, że oznaczało to właśnie brak punktów dodatkowych. Znalazłem się w mało komfortowej sytuacji. Na żadne dodatkowe punkty nie mogłem liczyć. Wynik matury – mierny, o punktach za pochodzenie nie mogłem nawet marzyć. Wiedziałem, że z gimnazjum ciągnie się za mną opinia wroga klasowego. Co prawda zostałem przykładnie ukarany koniecznością zmiany szkoły, a ojciec utratą pracy, ale tego nikt nie brał pod uwagę. Jedyne, co zależało tylko ode mnie, to dobrze zdany egzamin wstępny. Wybrałem na wszelki wypadek dwa kierunki: chemię na Politechnice oraz prawo na Uniwersytecie. Mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ terminy egzaminów wstępnych nie pokrywały się z sobą. Na początku stwierdzono, że wynik pisemnego egzaminu z fizyki był negatywny. Byłem pewny, że zaszło tu nieporozumienie, poprosiłem więc o możliwość wglądu w moją pracę. Wówczas okazało się, że niestety praca zaginęła, ale mogę przystąpić do „poprawki” ustnej przed komisją. Zdałem więc tę „poprawkę” z wynikiem bardzo dobrym. Ponieważ nie było wątpliwości co do egzaminu z matematyki, okazało się, że oba egzaminy zdałem. Jednak nie zostałem przyjęty na studia z powodu „braku miejsc”. Na szczęście dobry duch w postaci rektora Politechniki, profesora Achmatowicza¹, ojca mojego kolegi, sprawił, że miejsce się w końcu znalazło. Wraz z indeksem otrzymaliśmy program wykładów oraz listę wykładowców. Dziekanem Wydziału Chemicznego była prof. Alicja Dorabalska. Rozpierała mnie niesamowita radość i duma - pierwszy dzień na studiach, teraz wszystko zależy ode mnie. Na początku uczniowie z tych samych szkół zbierają się w grupki. Z „Kopra” jest nas kilku,

¹ Osman Achmatowicz – chemik organik polski pochodzenia tatarskiego, organizator i profesor Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej



Budynek główny Politechniki Łódzkiej i gmach Chemii (po lewej stronie komina) na przełomie lat 40. i 50. (fot. archiwum S. Sztromajera)

oprócz mnie: Osman Achmatowicz, Staś Błoński, Bogdan Dawidowicz, Lusiak Ślusarski, Andrzej Zwierzak. Ten ostatni, wcześniej szkolny prymus, najlepiej zdał egzamin wstępny i będzie najlepszym studentem na roku, aż w końcu pierwszy zostanie profesorem.

Dziś rozległy kampus Politechniki Łódzkiej zadziwia nowoczesnością, ale też zachowuje doskonale utrzymane budynki zabytkowe. Jak wyglądała uczelnia w waszych czasach?

Kilka miesięcy temu odwiedziłem najnowszy gmach Wydziału Chemicznego i oniemiałem - piękny budynek z ogromną aulą, świetnie wyposażone pracownie, jasno i przestronnie. Kiedy my zaczynaliśmy studia weszliśmy do gmachu Wydziału Chemicznego, także dopiero co oddanego do użytku.

Gmach naszej uczelni, to była dawna włókiennicza fabryka Szai Rosenbalatta, wciśnięta między ulice Żeromskiego, Radwańską, Gdańską i Żwirki. Czerwień fabrycznych murów kontrastowała z nowymi, świeżo przebudowanymi jej fragmentami. Wchodziliśmy od strony ul. Gdańskiej (dziś ul. Stefanowskiego) przez Wydział Mechaniczny – to była dawna przędzalnia zwieńczona dekoracyjną wieżą zdobioną literami SR. Prostopadle do tego gmachu znajdował



Gmach Chemii w 1951 roku
(fot. Stefan Sztromajer)



Stefan Sztromajer w czasie studiów
(fot. arch. S. Sztromajera)

się budynek naszego wydziału. Powstał na bazie starej wielopiętrowej tkalni, w ciągu dwu lat przeprowadzono z wielkim rozmachem modernizację, dodano klatkę schodową, szatnię, pomieszczenia uczelnianej administracji. Wspaniałe wrażenie wywierało audytorium chemiczne z wielkim układem okresowym za katedrą. Wokół mniejsze sale przeznaczone do ćwiczeń prowadzonych w grupach, na które podzielono studentów każdego roku. Laboratoria, w których odbywały się zajęcia praktyczne, były wyposażone w aparaturę, jakiej dotychczas nie widziałem. W większości pozyskano ją z różnych fabrycznych laboratoriów. Wszystkie nasze laboratoria wyposażone zostały w meble wykonane wg pomysłu prof. Osmana Achmatowicza w Radomskiej Fabryce Mebli. Powstała także dobrze zaopatrzona biblioteka, o dziwo było w niej wiele wydanych na zachódzie fachowych książek i czasopism. To prawdopodobnie zasługa prof. Stefanowskiego², który miał wiele dawnych znajomości na świecie i cieszył się w kręgach naukowych ogromnym autorytetem. W niektórych książkach znajdowaliśmy pieczętki łódzkich bibliotek gimnazjalnych.

Ten piękny gmach to „Alchemium”, faktycznie olśniewa architektonicznymi rozwiązaniami, ale studia to nie tylko budynki, dla studentów najważniejsza jest „atmosfera” życia uczelnianego. Jak wyglądała ona na początku lat 50.?

Pierwszy rok, a może raczej pierwszy semestr, był decydujący i dochodziło wtedy do „odsiewu” studentów. Warunkiem pozostania na uczelni było zaliczenie semestru. Najtrudniejszym przedmiotem na pierwszym roku była

² Bohdan Stefanowski – polski termodynamik, pierwszy rektor Politechniki Łódzkiej; dziś w ramach kampusu PŁ znajduje się ulica, której jest patronem

matematyka. Do dziś żałuję, że niedostatecznie przykładam się do nauki i uzyskiwałem zaledwie mierne oceny. Oczywiście, była to moja wina, trzeba było solidnie zająć się swoją edukacją, a nie angażować w inne sprawy. W dziedzinie związanej z moim kierunkiem szczególnie interesowały mnie materiały pirotechniczne, elektronika oraz fotografia. Pewnego dnia uprawianie tej najważniejszej pasji zakończyło się eksplozją skonstruowanego przeze mnie detonatora, który okazał się nieco za czuły. Ze względu na charakterystyczne zranienia skierowano mnie do zaufanego lekarza, doktora Eliasberga³. Po opatrzeniu ran wysłał mnie do okulisty. Gdy pojawiłem się na uczelni w ciemnych okularach, z ręką na temblaku, na pytania kolegów odpowiadałem, że powodem obrażeń była nieudana synteza chinoliny. Jakimś cudem nie wzbudziło to zainteresowania „aktywistów” z ZMP. Była bowiem taka, na szczęście nieliczna, grupa członków tej organizacji, której głównym zadaniem było wykrywanie nieprawomyślności kolegów.

Aktyw „Agitpropu” (grupy agitacyjno-propagandowej) redagował ścienną gazetkę pod tytułem „Lekka Kawaleria”, gdzie publikowano informacje, a raczej donosy na kolegów. Donosy te dotyczyły na przykład niewłaściwego ubioru, fryzury, deklarowanych poglądów, obecności na wykładach lub, o zgrozo, braku entuzjazmu wobec poczynąń władzy ludowej. Jeżeli ktoś zaprosił kolegów na prywatkę i słuchano płyt ze współczesną muzyką jazzową, a aktyw się o tym dowiedział, karano go co najmniej złożeniem „samokrytyki” na zebraniu ZMP. Na szczęście ani ja, ani moi bliscy koledzy nie byliśmy członkami tej organizacji, więc zbiorowe słuchanie zakazanych melodii, Wolnej Europy czy Londynu u Wojtka Drożdżała niczym nam nie groziło.

³ Dr Michał Eliasberg – chirurg



Pierwszy budynek Wydziału Chemii Politechniki Łódzkiej (fot. Ryszard Bonisławski)



Nowo otwarty budynek „Alchemium” na kampusie PŁ (fot. Bartłomiej Zieliński)

Studia kojarzą się z różnymi zabawnymi sytuacjami. Co z tamtych lat zapadło w Pańskiej pamięci?

Na drugim roku studiów wydarzył się niecodzienny incydent. Podczas wykładu chemii organicznej, jak zwykle znakomitego prof. Achmatowicza, jedna koleżanka, pilnie słuchając wykładu, robiła na drutach. Gdy zauważył to profesor, zbladł, zamilkł na chwilę i polecił asystentowi (profesor zazwyczaj brał na wykład asystenta) wyprowadzić z sali niczego z tego nierozumiejącą koleżankę. Na szczęście to zdarzenie nie odbiło się na egzaminie u profesora, który zapewne o wszystkim zapomniał.

Pewne przedmioty na Politechnice cieszyły się złą sławą i uważane były za bardzo trudne. Do takich należała mechanika teoretyczna wykładana przez prof. Buchholtza⁴, u którego nie było łatwo zdać. Szczęśliwie mnie się to udało za pierwszym podejściem. Już po egzaminie prof. Buchholtz zatrzymał mnie na korytarzu i poprosił o pomoc przy umieszczaniu ogłoszenia w gablocie na ścianie. Przytrzymałem ciężką, szklaną pokrywę gabloty i po usłyszeniu „już” odruchowo ją opuściłem – jak się okazało na ręce profesora, przycinając mu boleśnie palce. Gdy zobaczyłem, co się stało, uciekłem ścigany okrzykami: „Idiota! Kretyn!”. Ale przecież nie zrobiłem tego umyślnie... Na szczęście nie miałem już więcej kontaktów z profesorem.

Przekleństwem naszych studiów było Studium Wojskowe i związane z nim chodzenie w mundurach oraz uczestnictwo w obozach. Jak wasze pokolenie odbierało zajęcia wojskowe, przecież wielu studentów miało różne doświadczenia wyniesione z czasów okupacji?

Zajęcia Studium Wojskowego odbywały się w budynku głównym, mundurów i broni nie mieliśmy, zapoznaliśmy się z nią dopiero na obozie wojskowym. Z tamtego okresu zapamiętałem pewne wydarzenie; miało ono miejsce w trakcie letnich ćwiczeń. Obóz wizytował nasz komendant kpt. Witold Lenczewski. Zastał nas przy czyszczeniu broni. Podeszedł do mnie, gdy rozkładałem magazynek pepeszy, rozpoczęliśmy rozmowę.

– *Uważaj, synu, na sprężynę podajnika. Gdy ją nieuważnie zwolnisz, pokaleczy ci palce* – ostrzegł.

⁴ Prof. Jan Buchholtz – profesor Politechniki Łódzkiej w dziedzinie mechaniki i hydromechaniki. W 1945 roku został kierownikiem Katedry Mechaniki na Wydziale Elektrycznym PŁ, a w 1946 roku jako pierwszy uzyskał stopień doktora na tej uczelni.

- *Panie kapitanie, ja pepeszę znam z powstania, miałem okazję z niej postrzelać.*
- *A gdzie ty byłeś?*
- *Na Żoliborzu.*
- *No to ja byłem wtedy niedaleko* – oznajmił i odszedł.

Dziś dumą Politechniki jest Zatoka Sportu: pływalnia, sale gimnastyczne, ścianka wspinaczkowa i inne udogodnienia zachęcające studentów do aktywności fizycznej. To może budzić zazdrość?

Oczywiście, nasze zajęcia odbywały się na placu po przeciwnej stronie budynku głównego, a latem mieliśmy namiastkę Zatoki w postaci otwartego basenu pływackiego położonego za niewielkim budynkiem Działu Technicznego. Powstał w wyniku przebudowy starego fabrycznego basenu przeciwpożarowego. Miał nawet drewnianą szatnię. Dziś w tym miejscu znajduje się rozległy zieleniec.



Widok z pracowni chemicznej
(fot. Stefan Sztromajer)



Widok na plac ćwiczeń WF
(fot. Stefan Sztromajer)

Jedną z Pańskich pasji było fotografowanie. Czy budynki Politechniki były także tematem sesji?

O tak, aparat zawsze miałem na podorędziu, wykonałem setki zdjęć budynków, kolegów z wydziału, pracowników, a później także strajków studenckich, sympozjów itp. Sporo tych moich zdjęć można znaleźć w publikacjach PŁ oraz w zbiorach muzeum uczelni. Są dokumentem mijających czasów. Kilka z nich przekażę do zapisu naszej rozmowy.

Lata studiów szybko minęły i co dalej?

Przed końcem studiów, w ramach praktyki dyplomowej, przez cztery miesiące pracowałem w Instytucie Włókien Sztucznych i Syntetycznych. Moim głównym



Dyplom ukończenia studiów inżynierskich Stefana Sztromajera (fot. archiwum S. Sztromajera)

zadaniem było zebranie w bibliotece Instytutu materiałów źródłowych dotyczących historii produkcji wszelkich folii, włókien otrzymywanych z celulozy oraz sporządzenie stosownego sprawozdania. W Instytucie byli wspaniali szefowie, znani mi z Politechniki prof. Eligia Turska⁵ i doc. Janusz Nadziakiewicz. Gdy prosiłem o radę, czy przyjąć propozycję zatrudnienia w Instytucie, oboje sugerowali, żeby na początku zaznajomić się z przemysłem, a potem tu wrócić.

Studia inżynierskie ukończyłem w 1954 r., prawie w terminie. Z dumą odebrałem dyplom z numerem 100.

Czyli Instytut doczekał się nowego pracownika?

O nie! Miałem zaznajomić się z przemysłem i trochę to trwało. Zatrudniono mnie w przedsiębiorstwie Instalacje Przemysłowe. Zarząd przedsiębiorstwa mieścił się przy ul. Wólczańskiej 158 w baraczkę, a prefabrykacja, pomieszczenia montażu i magazyny znajdowały się przy ul. Brukowej 20. Zajmowałem

⁵ Prof. Eligia Turska-Kuśmierz – w 1958 r. założyła pierwszą w Polsce i pionierską na świecie Katedrę Chemii Fizycznej Polimerów. Była dyrektorem Instytutu Włókien Sztucznych PŁ, twórczynią polskiej szkoły chemii fizycznej polimerów

stanowisko w dziale przygotowania produkcji i kontroli. Krótco po moim przyjściu do „Instalu” dowiedziałem się, że pracuje tu pułkownik Józef Szostak, historyczny „Filip”, jeden z członków sztabu Armii Krajowej. Przez pięć lat siedział on w PRL-owskim więzieniu i był pozbawiony praw obywatelskich.

W 1955 r. wyszedł na wolność, został zrehabilitowany i dostał pracę w dziale organizacyjnym „Instalu”. Gdy tylko o tym usłyszałem, poszedłem mu się przedstawić. Spotykaliśmy się potem nieraz w moim pokoju. Pułkownik miał w głębokiej pogardzie panującą rzeczywistość i mówił o tym otwartym tekstem.

Jednak Politechnika działała jak magnes?

Nie sądziłem wtedy, że po latach wrócę do mojej uczelni w roli asystenta prof. Bolesława Rosińskiego, zdobędę tytuł doktora i popracuję na Wydziale Budownictwa do emerytury. Dodam, że prof. Rosiński w pewnym sensie ukształtował mój charakter. Profesor był dość zamknięty w sobie i nie wtajemniczał nas w swoje sprawy osobiste. Dopiero z czasem dowiedzieliśmy się, że był ciężko doświadczony przez życie. W 1943 r. zaangażował się w walkę przeciwko niemieckiemu okupantowi i został zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej. Działał w Okręgu Lubelskim AK pod pseudonimami „Irena” oraz „Tadeusz”. W 1944 r. aresztowano go i osadzono w zamku lubelskim z wyrokiem śmierci, podobnie jak wielu innych żołnierzy AK. Większość tych wyroków została wykonana, w tym na jego bracie por. Czesławie Rosińskim, pseudonim „Jemiola”. Szef był zawsze wytworny i elegancki, służył chętnie radą i pomocą, ale był też bardzo wymagający. Zapamiętaliśmy go również jako bardzo ciekawego rozmówcę i wspaniałomyślnego eksperta, który bronił ludzi w trudnych sytuacjach zawodowych w czasach, kiedy nawet przypadkowa awaria na budowie mogła być uznana za sabotaż. Ale to już są wspomnienia z czasów, które nastąpiły po moich politechnicznych studiach...



Stefan Sztromajer i Ryszard Bonisławski podczas rozmowy (fot. arch. S. Sztromajera)



Stefan Sztromajer przed wejściem na jedną ze swoich wystaw (fot. arch. S. Sztromajera)



UNIwersytet Medyczny w Łodzi

Rozdanie dyplomów na kierunku lekarskim
FOT. MATERIAŁY PRASOWE UMED



O UNIWERSYTECIE MEDYCZNYM W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI

Na samym początku drogi

W okresie dwudziestolecia międzywojennego uświadomiono sobie w Łodzi potrzebę kształcenia kadr medycznych. Miasto już wówczas było 600-tysięczną metropolią i problem stawał się palący. Zaczęto zatem czynić starania o powołanie do życia szkoły medycznej. Zwłaszcza, że funkcjonowało Łódzkie Towarzystwo Lekarskie zrzeszające kadry, które z powodzeniem mogłyby zasilić wyższą uczelnię. Ze względu na wysokie koszty projektu zrodził się pomysł utworzenia uczelni medycznej, na której budżet składałyby się środki pozyskiwane od społeczeństwa, od samorządu miejskiego oraz Ministerstwa Opieki Społecznej. Wielkim zwolennikiem tego rozwiązania był łódzki lekarz prof. Wincenty Tomaszewicz¹. Zgromadzono 2 miliony złotych, co na owe czasy było sumą ogromną, podjęto decyzję o budowie uczelni a na jesień 1940 r. zaplanowano pierwsze zajęcia z pierwszymi studentami. Niestety plany zniweczył wybuch II wojny światowej.

Po wojnie, w sierpniu 1945 r. marzenie o łódzkiej uczelni medycznej się spełniło. Nie była to jednak jeszcze autonomiczna jednostka, lecz trzy wydziały działające w strukturze powstałego trzy miesiące wcześniej Uniwersytetu Łódzkiego. Utworzono 3 wydziały medyczne: lekarski, stomatologiczny i farmaceutyczny. Do władz uczelni powołano prorektora ds. wydziałów medycznych. Kadra naukowa to łódzcy uczeni oraz... ci, którzy przyjechali z kresów

Po wojnie brakowało dosłownie wszystkiego, poza zapalem, marzeniami i silną wolą twórców uczelni i studentów. Nie było wystarczającej liczby materiałów naukowych, odczynników, preparatów...

¹ Wincenty Tomaszewicz, chirurg, uczestnik Powstania Warszawskiego, profesor i pierwszy Dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, autor cennego świadectwa epoki „Ze wspomnień lekarza”.

wschodnich II RP. Byli też pedagodzy i naukowcy spoza granicy kraju. Budowali uczelnię od zera, często przybywając do Łodzi z jedną walizką.

W 1950 r. wyłączono z uniwersytetu wydziały powiązane z medycyną i utworzono z nich Akademię Medyczną (obecnie Uniwersytet Medyczny).

Pierwsze wykłady po wojnie odbywały się... w kinach

Pierwsze lata cechowały się wprawdzie ogromnym zapałem i entuzjazmem zarówno kadry naukowej jak i studentów, jednak warunki lokalowe były trudne, a nawet... nieco dziwne. Otóż, studenci słuchali wykładów z anatomii i fizjologii w łódzkich kinach. Najczęściej były to – „Bałtyk” i „Polonia”. Jeśli ktoś zasnął — mógł zostać uznany za widza.

Pierwsza sala prosektoryjna

Collegium Anatomicum to charakterystyczny budynek przy ulicy Narutowicza, w sąsiedztwie Placu Dąbrowskiego. Przed wojną mieściło się tu Schronisko dla Starców i Kalek Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności. Nad wejściem znajdował się napis: Res sacra miser (Miłosierdzie rzeczą świętą). Po wojnie, w listopadzie 1945 r. budynek przekazano w użytkowanie Uniwersytetowi Łódzkiemu. Tu też w iście ekspresowym tempie zorganizowano sale prosektoryjne, które działały jeszcze w XXI wieku



Collegium Anatomicum przy ul. Narutowicza (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)

a nad portalem poprzednio widniejąca maksyma została zastąpiona napisem, który znamy do dzisiaj: COLLEGIUM ANATOMICUM.

W 2015 roku mieściły się tu katedry morfologii, patofizjologii, histologii i embriologii. Elementem dydaktycznym Collegium jest muzeum anatomiczne, w zasadzie niedostępne dla osób postronnych, znajdujące się w dawnej kaplicy przytułku.

Notatki zamiast podręczników

Po wojnie brakowało dosłownie wszystkiego, poza zapałem, marzeniami i silną wolą twórców uczelni i studentów. Nie było wystarczającej liczby materiałów naukowych, odczynników, preparatów... ba! brakowało podręczników. Dlatego wielu wykładowców przepisywało własne notatki (a nie były to czasy komputerów, możliwości drukowania ani kserografów) i rozdawało studentom powielane przez kalkę kopie.



Student podczas zajęć na kierunku Farmakologia (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)



Studentka podczas zajęć na kierunku Farmacja (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)

Jak pediatra, to zapewne z Łodzi

W latach 70. łódzka Akademia Medyczna wykształciła rekordową liczbę pediatrów w Polsce. Pół kraju leczyło swoje dzieci u lekarzy, którzy ukończyli łódzką uczelnię.

Odrobina statystyki

Wydziały	5
Kierunki studiów	15
Profesorowie	173
Nauczyciele akademicki	1206
Studenci	8000



Studenci Akademii Medycznej podczas pochodu juwenaliowego (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)



Inauguracja roku akademickiego na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi z udziałem prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, 2014 rok (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)



Studenci kierunku Wojskowo-Lekarskiego, 2015 rok (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)



Napis nad wejściem do dawnego Collegium Anatomicum (fot. Patryk Wacławiak)



Centrum Kliniczno-Dydaktyczne UM w Łodzi (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)



Muzeum Farmacji UMED w Łodzi (fot. materiały prasowe UMED w Łodzi)

„MYJ PANI RĘCZE”...

Wywiad z Romaną Mackiewicz

ABSOLWENTKĄ UNIWERSYTETU MEDYCZNEGO Z 1962 ROKU,
PSYCHIATRĄ, DOKTOREM NAUK MEDYCZNYCH,
NAUCZYCIELEM AKADEMICKIM

Rozmawia – Maria Biegańska-Płonka



Jest rekordzistką – mając 90 lat nadal jest czynna zawodowo, pomaga ludziom lecząc ich i zarażając energią. Zachwyca nienaganną sylwetką, strojem i wielkim sercem. Studiowała medycynę w latach 1951-1956. Zdobyła specjalizację pierwszego i drugiego stopnia w dziedzinie pediatrii. W ramach stażu przebywała na stypendium w Paryżu, później w Strasburgu. Jest jedno marzenie, którego nie udało się Pani Doktor spełnić – o stworzeniu polsko-francuskiego ośrodka psychiatrii. Ale biorąc pod uwagę siłę charakteru i niespożytą energię naszego gościa, nic nie jest jeszcze przesądzone.

Maria Biegańska-Płonka: Pani Doktor, czy jest Pani od urodzenia związana z Łodzią?

Romana Mackiewicz: Tak. Mama także była Łódzianką. Skończyła seminarium nauczycielskie w Zgierzu, uważane wówczas za szkołę pedagogiczną na wysokim poziomie. Ale czasy były trudne i nie bardzo mogła znaleźć pracę na terenie Łodzi. Zaproponowano jej posadę nauczycielki języka polskiego w wyznaniowej szkole żydowskiej w Pabianicach. Mama tę pracę podjęła, była tam bardzo dobrze widziana, oceniana. Została przez rok. Miała z Pabianic bardzo dobre wspomnienia. Mało tego, poznała wtedy Esterkę, bliską przyjaciółkę. Na tyle serdeczną, że mama chciała nadać mi jej imię. Toczyły się na ten temat dyskusje w rodzinie. W każdym razie, noszę imię Romana¹ – należące do przełożonej łódzkiej szkoły, w której mama uczyła się, zanim trafiła do seminarium.

Ojciec urodził się w Kutnie, ale od wczesnego dzieciństwa mieszkał w Łodzi. Jego rodzina, o tradycji ziemiańskiej (rodzina babci, de domo

Studenci medycyny mieli zwykle mało wolnego czasu. Na pierwszym roku przed południem były wykłady, po południu ćwiczenia. Zajęcia na anatomii kończyły się około godz. 19.00 - 20.00.

¹ Prawdopodobnie chodzi o Romanę Pachucką, łódzką sufrażystkę, nauczycielkę i dyrektorkę Gimnazjum Żeńskiego im. Emilii Sczanieckiej w Łodzi (obecnie IV Liceum Ogólnokształcące)

Pomianowskiej, pochodziła z Pomian – majątku szlacheckiego na Kujawach), miała taką małą, elegancką restaurację w pobliżu Dworca Kaliskiego, który się wtedy rozbudowywał. Rodzeństwo było liczne. W restauracji zatrudniano osoby tworzące niezbędną obsługę, ale dzieci również pomagały, jednocześnie chodząc do szkoły – każde gdzie indziej... Restauracja miała pewną renomę, prowadzona była na poziomie... Przestała istnieć na początku lat trzydziestych ze względu na podeszły wiek dziadków, którzy przeprowadzili się do Ożarowa, do mieszkania w drewnianej willi, kupionej przez najstarszego syna.

Jak to się stało, że Pani ojciec został kierownikiem browaru braci Keilich?

Podczas nauki w szkole browarniczej w Tychach poznał współwłaściciela browaru – Waldemara Keilicha. Zostali bliskimi przyjaciółmi. Ich przyjaźń trwała podczas nauki, a później pracy. Ojciec kierował browarem w latach trzydziestych. Firma znajdowała się w istniejącym budynku przy ul. Przybyszewskiego 28.

Które liceum Pani ukończyła?

VI Liceum Ogólnokształcące im. Lelewela, przy ul. Podmiejskiej.

Czy wybór studiów medycznych wynikał z Pani zamiłowania? Skąd ono wynika?

W wieku około 11-13 lat obejrzałam film „Przez łąy do szczęścia”². Opowiadał o domu dziecka prowadzonym przez dobrych ludzi. Jedną z postaci był chyba lekarz. Film przedstawiał głównie zajmowanie się dziećmi. Pamiętam, że poszliśmy na ten film do kina „Gdynia”, przy ul. Tuwima.

Była Pani wrażliwą dziewczynką i ten film zrobił na Pani duże wrażenie... Czy od początku interesowała Panią opieka nad dziećmi, czy ogólnie: byciem lekarzem?

Od początku interesowała mnie opieka nad dziećmi...

Ile lat miał wtedy maturzysta, kiedy zdawał na studia?

Maturzysta normalnie miał osiemnaście, ale ja byłam młodsza. Skończyłam szkołę dwa lata wcześniej. Miałam szesnaście lat.

² *Przez łąy do szczęścia*, 1941 r., reż. Jan Fethke



Romana Mackiewicz podczas rozmowy z Marią Biegańską-Płonką (fot. Patryk Wacławiak)

Czy musiała Pani podjąć jakiś dodatkowy wysiłek w liceum, żeby dostać się na studia?

Nie, nie było w ogóle takiego myślenia, że trzeba coś robić dodatkowo, żeby się dostać na studia.

Jaka część uczniów w klasie maturalnej chciała rozpocząć studia?

Dosyć znaczna, co najmniej 2/3 klasy. W mojej maturalnej klasie spośród dwudziestu dwóch osób, pięć planowało studia medyczne.

Na studia trafiła Pani bez egzaminów wstępnych, na podstawie dyplomu Przodownika Nauki i Pracy Społecznej, w związku z bardzo dobrymi wynikami w nauce w liceum...

Dowiedziałam się o tym, że dostanę taki dyplom po egzaminie maturalnym. Wcześniej nie miałam o tym pojęcia. Zakładałam, że przystąpię do egzaminu.

Opowieści o egzaminie wstępnym słyszałam od moich kolegów i koleżanek. To były dobre opowieści. Oni nie narzekali. Byli zadowoleni z atmosfery, z egzaminu w ogóle. Wydaje mi się, że wtedy nie było takiego wielkiego lęku

przed tym egzaminem. I nasi profesorowie w liceum też nas dobrze nastawiali do egzaminu wstępnego na studia. Przecież oni wiedzieli, kto zdaje na medycynę. Dobrzy uczniowie, ale nie wszyscy najlepsi. Miałam bardzo dobrych profesorów w szkole. Bardzo dobrze ich wspominam.

Czy rodzice wspierali Panią w wyborze studiów?

Tak, ale nie pchali mnie na medycynę. Byli zadowoleni. Mój ojciec nawet przejściowo mówił, że może poszłabym na chemię, bo on po wojnie ukończył chemię spożywczą. Jednak był zadowolony, że wybrałam to, co mi się podo- bało. Mama od początku bardzo akceptowała wybór medycyny.

Czy była w tym czasie duża konkurencja wśród licealistów, starających się o dostanie na studia medyczne?

Nie było takiej konkurencji wśród moich kolegów. Ogólnie mówiąc, chciano się dostać na studia. I było bardzo pozytywne podejście do tego.

Ile osób mogło być na pierwszym roku?

Pięćset dwadzieścia! W tym około stu wojskowych – cała kompania. Dwudziestu dyplomantów Nauki i Pracy Społecznej.

A felczerzy, też się wtedy trafiali?

Pierwszym starostą mojego roku był właśnie były felczer, Stasio Bidas, który był od nas starszy, bo miał może 32, może 34 lata. Lubiliśmy go. Do mnie to on czasem mówił „dziecko”, a ja pamiętam, że się tak wahałam, czy mogę powiedzieć: „Stasio”, ale ostatecznie kazał wszystkim mówić na „ty” – dla nas był jednak starszy. Starszy od nas i należał mu się szacunek.

A ilu mogło być felczerów na roku?

Wydaje mi się, że był jeszcze jeden, ale on dalej nie studiował. Przerwał w pewnym momencie. Natomiast Stasio ładnie dokończył studia.

Ilu studentów zostało po pierwszym odsiewie, po pierwszym roku?

Ten odsiew był w dziesiątkach, nie w setkach. Trzydzieści osób, jeśli nie mniej. Dwóch kolegów odeszło po pierwszym semestrze, samoistnie odeszli, bo faktycznie nauka im nie za dobrze szła i przekonali się, że to nie dla nich. Ale nie zostali wyrzuceni.

Po Staszku starostą roku został Lucjan Ryszard Wesolek, kolega w naszym wieku. Dzięki jego inicjatywie odbywały się nasze zjazdy koleżeńskie co 5-10 lat. Ostatni był na 65-lecie ukończenia studiów, a do 2023 roku w gronie pięciu, dziesięciu osób spotykaliśmy się co miesiąc na obiadach w restauracji przy ul. Piotrkowskiej 147.

Czy Łódź miała coś do zaproponowania studentom?

Kina, teatry. Poza tym na moim roku powstała grupa teatralna o nazwie „Zespół Satyryków”, który potem przekształcił się w „Cytrynę”. Pamiętam skecz, w którym był sklep, i kolejka. Ja też stałam w tej kolejce. „Pan tu stał?” „Tak, stałem, stałem.”

Przez pewien czas należałam do „Zespołu Satyryków”, ale potem przestałam, bo się sporo uczyłam, wybierałam inne zajęcia.

Deklamowałam na akademiach, kolega grał na pianinie. Poza tym były konkursy piosenki, kiedyś moja grupa zwyciężyła w takim konkursie. Każda grupa wykonywała piosenkę.

Ile osób było w grupie?

Ponad dwadzieścia.

W jaki sposób studenci spędzali wolny czas i ile tego czasu mieli?

Studenci medycyny mieli zwykle mało wolnego czasu. Na pierwszym roku przed południem były wykłady, po południu ćwiczenia. Zajęcia na anatomii kończyły się około godz. 19.00 – 20.00. Oczywiście, chodziliśmy do kina, to nie były jednak bardzo częste wyjścia. Poza tym do kawiarni – też rzadko.

Jeśli chodzi o „Honoratkę” – byłam tam raz z koleżankami na czwartym albo piątym roku, raz może z bliskim kolegą. Zналиśmy ciekawe opowieści o „Honoratce”. Kawiarnia bardzo sympatycznie, ciepło urządzona. Za bufetem na ogół dwie panie, bardzo miłe, lubiły porozmawiać ze studentami, studentkami. I tam przychodzili filmowcy. Niektórzy znani aktorzy, znani reżyserzy.



Romana Mackiewicz (z lewej) z przyjaciółką w czasach studenckich (fot. arch. R. Mackiewicz)

Więc zerkaliśmy, wtedy właśnie też ktoś taki był w kawiarni. To było exclusive miejsce. Było też trochę drożej niż w innych tego typu cukierniach. Wydaje mi się, że można było zamówić bardzo dobrą szarlotkę czy sernik. Nie były to takie zwykłe ciastka. Tam się tak ciepło siedziało, jakby się było u kogoś w domu.

Czy chodzenie do „Honoratki” było oddzielnym wydarzeniem, czy działo się to między zajęciami?

To było raczej wyjątkowe wydarzenie. Czasem chodziliśmy też do baru, blisko Collegium Anatomicum. Systematycznie chodziliśmy do stołówki studenckiej, przy ul. Piotrkowskiej. Były tam dokładki, było co zjeść. Głodny nikt nie chodził, chociaż jedzenie było dosyć prosto przyrządzone.

Czy w czasie studiów spotkała Pani profesorów, którzy rzeczywiście mogli być mistrzami? Czy mogły powstać relacje uczeń-mistrz? Czy istniał podziw dla profesorów?

Zdecydowanie. Chyba większość profesorów, jeśli nie wszyscy, byli dla nas mistrzami. My bardzo naszych profesorów lubiliśmy, wręcz kochaliśmy. I to jest prawda. My naprawdę bardzo, bardzo ich szanowaliśmy. Nawet mój rok tablicę taką zamówił, chyba została przeniesiona do Centrum Biblioteczno-Informacyjnego Uniwersytetu Medycznego. Tablica pierwotnie wisiała w Rektoracie:

„W podziękowaniu naszym Profesorom i Rektorowi...”

Bardzo dobrze ich wspominam...

Anatomię pewnie prowadził pan profesor Tadeusz Wasilewski?

Pięknie rysował w czasie wykładów. Bardzo dobrze wspominaliśmy Profesora, krążyły całe legendy o egzaminach. Jak pan profesor mówił: „Myj pan ręce”, czy „Myj pani ręce” – to wiadomo było, że egzamin zdany!

A inni?

Profesor Franciszek Venulet, patofizjolog. Bardzo go szanowaliśmy. Był prawdopodobnie najstarszy. Bardzo źle nastawiony do palenia papierosów. Mówił: „E, kobiety ładne nie palą. Palą te, co chcą buzię przykryć dymem.” Wykłady były bardzo ciekawe. Profesor Venulet był obiektywny, przeprowadzał egzaminy poważnie, spokojnie.

Pan profesor Leyko, farmakolog, raczej spokojem się nie odznaczał, prawda?

Nie, ale też go dobrze wspominaliśmy. Były różne anegdoty, często zabawne...

O wzywaniu przez okno milicji: „Zabił człowieka!”, jak student pomylił dawkę leku na recepcie?

(Śmiech) Jedna z naszych koleżanek źle odpowiadała na egzaminie, a profesor Leyko krzyknął: *Termometr! Termometr!* A ona miała naprawdę gorączkę – termometr to wykazał. Profesor ją bardzo przeproszał i bardzo się starał, żeby nie czuła się źle potraktowana. Wykłady były bardzo dobre, dotyczyły istoty działania leku. I najważniejsze leki były przedmiotem wykładów.

Opiekunem naszego roku był profesor Aleksander Pruszczyński, patomorfolog, który był przez nas bardzo, bardzo lubiany. Dla nas bardzo życzliwy, ciepły. Podobnie rektor Marian Stefanowski, chirurg. Profesorowie darzyli studentów nie tyle empatią, co sympatią.

Dobrze w pamięci studentów zapisał się profesor Waław Markert, internista. Pan profesor uczył nas, jak należy rozmawiać z pacjentem. Część wykładów

w tamtym czasie odbywała się na terenie sal widowiskowych, m.in. w Domu Kultury przy ul. Traugutta.

Była tam scena, stał stolik, krzesła imitujące gabinet lekarski. Pan profesor stawał się pacjentem, a kolejni studenci lekarzami, którzy rozmawiali z pacjentem – na wizycie u doktora.

Studenci z Łodzi czy spoza Łodzi, mieszkający w swoich domach i studenci, mieszkający w akademikach, wszyscy dobrze czuli się razem i nie było tu jakichś podziałów między nimi?

Nie. Mogło być tylko tak, że któryś ze studentów mówił: *Wy lepiej znacie Łódź*. Ale to nie były jakieś awersje czy narzekania, tylko zdawali sobie sprawę, że Łodzianie lepiej znają miasto.

Pięćset osób na roku to jednak duża liczba studentów.

Tak, i myśmy się znali, może z wyjątkiem wojskowych. Chociaż oni często siadali wśród nas, ale przychodzili oddzielnie, jako kompania.

W kolejnych latach, gdy odbywały się zajęcia kliniczne, wykłady były obowiązkowe?

Absolutnie. Nie można się było spóźniać. W pewnym okresie, ponieważ zdarzało się, że ktoś tam opuszczał wykłady, była zorganizowana tzw. Brygada Lekkiej Kawalerii (BLK), której myśmy specjalnie nie lubili. Była to koleżanka, która zgodziła się przekazywać staroście roku czy komuś innemu informacje, że ktoś się spóźnił czy nie przyszedł. Więc tylko się sprawdzało, czy zauważyła czy nie. Zbyt długo to nie trwało, bo ona sama miała tego dosyć.

Czego studenci nie lubili?

Dziewczyny narzekały na zajęcia z wojska, a z drugiej strony były tego ciekawe. Podśmiewaliśmy się, było dużo żartów. Pewnego razu trzeba było się meldować. I ja się zameldowałam: *Romana Miszańska melduje się na rozkaz!* Dowódca spytał: *Szeregowy czy generał? Generał!* Najśmieszniejsze jest to, że prawie podświadomie to powiedziałam. Miałam do wyboru: szeregowy albo generał. Jak w teatrze. Dowódca lubił pokrzyzczeć, ale zdawał sobie sprawę,

że tak celowo na nas krzyczy, uśmiechnął się szeroko... Nie na każde zajęcia z wojska (odbywały się raz w tygodniu) wkładało się mundur. Raz nawet dobrze mi wyszedł trójkąt błędów na strzelaniu...

Mężczyźni z naszego roku musieli zaliczyć miesięczny obóz wojskowy w Łagiewnikach. Jeden z kolegów miał zmotoryzowanego znajomego na niższym roku. Pewnego wieczoru nasz kolega z roku zostawił swoją odzież pięknie ułożoną przy łóżku. Oficer sprawdzał, czy wszyscy są na miejscu, inni powiedzieli, że wyszedł na chwilę. A tenże Jurek w slipkach został wywieziony z Łagiewnik. A ja akurat wracałam do domu, po odwiedzinach u mojego ówczesnego męża, który również uczestniczył w obozie. I tak się złożyło, że widziałam ich obu, jak jechali autem. Kolega wywiózł Jurka wieczorem i dostarczył z powrotem przed apelem. Takie to były numery!

Teraz może trochę poważniej o tym, czego nie lubiliśmy...

Byliśmy w internacie (zajęcia z ginekologii i położnictwa, podczas których przez tydzień studenci mieszkali na terenie szpitala ginekologiczno-położniczego – MBP) i miałyśmy asystować w poradni, gdzie były wykonywane różne zabiegi u kobiet. Jeden dosyć młody pan doktor niezbyt ładnie odnosił się do pacjentek. A wśród nas była koleżanka w ciąży, widocznej już, zaawansowanej. Ponieważ te jego komentarze dotyczyły też ciąży, to my bardzo źle odebrałyśmy jego zachowanie i obrażyłyśmy się. Obrażenie się wyglądało tak, że nie zgłosiłyśmy się na kolację ani na śniadanie. I w ogóle nie poszłyśmy na zajęcia. No i była afera; specjalnie przyszedł opiekun naszej grupy, starszy sympatyczny pan doktor. Bardzo nas namawiał, żebyśmy poszły. A ta koleżanka odpowiedziała, że ona wymaga przeproszenia. Miała rację. Powiedziała, że nie pójdzie, dopóki ten młody doktor jej nie przeprosi. I tak się stało, że ten młody przyszedł i przeprosił ją i nas – solidarne koleżanki.

Czy studenci angażowali się w sprawy polityczne, np. w 1956 roku?

Na pewno między nami były rozmowy wspierające Węgry i potępiające tamte wydarzenia, ale demonstracji sobie nie przypominam.

Jak wyglądało zainteresowanie studentów literaturą, filmem?

Kiedy studiowałam, różne filmy nas frapowały. A propos filmów – koleżanki chodziły do Szkoły Filmowej, żeby zarobić jako statystki i koledzy też. Jedna z koleżanek z roku, Ania Rosiak, jako gimnazjalistka zagrała jedną z głównych

ról w filmie Leonarda Buczkowskiego „Pierwszy start” (1950). Ten film był dobrze oceniany przez nas. Ania była lubiana i znana, także dzięki tej roli.

Jak wyglądała kwestia mody? Czy można się było tak ubrać, jak Pani chciała?

Ubierało się tak, jak się wymyśliło. Były pewne trendy, np. moda na czarne sweterki. Robiło się taki sweterek samemu na drutach i się nosiło! Większość tak postępowała, może komuś udało się kupić, albo dostać od cioci... To nie była kwestia jakiejś konieczności, presji... Na roku były osoby, powiedzmy, lepiej sytuowane, zauważało się, że troszkę ładniej się ubierają – chyba nie byliśmy bardzo zazdrosne.

A fryzury?

Była taka elegancka drogeria na Piotrkowskiej, niedaleko ulicy Andrzeja, pracował tam bardzo uprzejmy sprzedawca. Raz kupiłam tam szampon kolorujący, nałożyłam go wieczorem i uzyskałam naprawdę ładny, kasztanowy kolor. Zauważony był na roku. Wróciłam po zajęciach do domu. Tata mój, który był bardzo dobrym ojcem, zobaczył mnie i powiedział: *Proszę, żebyś to zmyła. Studentce nie wypada farbować włosów*. Miałam wtedy 17-18 lat. Ojciec, który na co dzień nie był taki apodyktyczny. No trudno. Zmyłam. To był naprawdę ładny kolor...

Czy zechciałaby Pani Doktor wspomnieć o jakimś dodatkowym aspekcie, związanym z Pani studiami?

Kontynuacją studiów była moja praca lekarza w Markowej, powiat Łańcut. Wyjechałam tam w odpowiedzi na tzw. zaciąg pionierski. W Markowej istniała Spółdzielnia Zdrowia, powstała wcześniej z inicjatywy tamtejszych chłopów. Niezwykle ciepło wspominałam, wręcz legendarną postacią był tam Doktor Ciekot, który wcześniej prowadził tę Spółdzielnię. Pracowałam tam wraz z moim ówczesnym mężem, Maciejem Mackiewiczem, tam urodziła się moja córka.

Czy można porównać dzisiejszy świat studentów do tego, który istniał wcześniej?

Nie znam obecnie wielu studentów, żeby odpowiedzieć z dużą pewnością. Kiedy widzę studentów na ulicy, myślę, że są podobieństwa. Widać, jak młodzi ludzie okazują sobie uczucia. Kiedyś chodziło się pod rękę, dzisiaj za rękę.

Kiedy prowadziłam ćwiczenia w klinice psychiatrii, zauważyłam, że studenci z tej samej grupy niewiele o sobie wiedzą. My mogliśmy o każdym z naszej grupy powiedzieć, gdzie mieszka, czym się interesuje. Jak kogoś brakowało, to wiedzieliśmy dlaczego osoby tej nie ma na zajęciach, a oni nie umieli odpowiedzieć. Mniej się znali. My znaliśmy się świetnie...

Na zakończenie naszej rozmowy chciałabym powiedzieć, że pierwszy rok nauki i całe dalsze studia, to był dla mnie bardzo dobry, szczęśliwy okres życia. Dla mnie ciekawe byłyby podobne wspomnienia aktualnych absolwentów studiów medycznych. A może ich wspomnienia byłyby także piękne i ciekawe?



Pani Romana Mackiewicz w czasie wywiadu (fot. Patryk Wacławiak)

The image shows a grand, ornate interior hall, likely a representation of a university building. On the left, a large, curved wooden staircase with intricate carvings and a patterned carpet leads upwards. The walls are covered in dark wood paneling. In the center, a grand piano sits on a large, patterned rug. To the right, there are large windows with red and white curtains, and a small wooden table with a mirror above it. A chandelier hangs from the ceiling.

UNIwersytet ŁÓDZKI

Hall Pałacu Alfreda Biedermanna – reprezentacyjnego
budynku Uniwersytetu Łódzkiego FOT. PATRYK WACŁAWIAK



O UNIWERSYTECIE ŁÓDZKIM – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI

Gabinet Rękta w Pałacu Alfreda Biedermanna – reprezentacyjnym
budynku Uniwersytetu Łódzkiego FOT. PATRYK WACŁAWIAK



Klatka schodowa rektoratu UŁ w budynku dawnej Szkoły Kupców w Łodzi FOT. PATRYK WACŁAWIAK

Na samym początku drogi

Uniwersytet Łódzki powstał wkrótce po ustaniu działań wojennych, w maju 1945 r.. Jednak nie była to budowa uczelni na intelektualnej pustyni, jako że podwaliny pod jej powstanie dały istniejące w dwudziestoleciu międzywojennym – Wolna Wszechnica Polska, Instytut Nauczycielstwa oraz Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ekonomicznych.

Głównym entuzjastą i organizatorem (dzisiaj powiedzielibyśmy – koordynatorem) powołania uczelni był profesor Teodor Vieweger – biolog i społecznik. Postać tyleż zasłużona dla łódzkiej nauki co tragiczna. Kiedy bowiem już sprawił, że Uniwersytet Łódzki stał się rzeczywistością i kiedy pędził z Warszawy do Łodzi na inaugurację pierwszego roku akademickiego jako pierwszy rektor uczelni, zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Tym samym pierwszym rektorem został wybitny filozof i etyk, profesor Tadeusz Kotarbiński.

W latach 40. uniwersytet szybko się rozwijał i w stał się drugą uczelnią w kraju pod względem liczby studentów, gromadząc 9000 osób na sześciu wydziałach. Jednak ohydne politycznie lata 50. ograniczyły wszelkie wolności społeczności akademickiej a polityczne naciski stały się codziennością. Taka atmosfera nie służyła rozwojowi humanistycznej uczelni. Studentów zaczęło być coraz mniej i 9000 skurczyło się do liczby 1500. Na szczęście stan ten trwał tylko do 1956 r., kiedy to, w związku z odrobiną politycznej odwilży i dzięki odwadze rektora Adama Szpunara, przywrócono autonomię uczelni i odbudowano kierunki humanistyczne. Wtedy również



Teodor Vieweger - koordynował powstanie Uniwersytetu Łódzkiego (fot. domena publiczna)

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego przejęła część księgozbioru z przedwojennej Wolnej Wszechnicy Polskiej oraz zbiorów prywatnych ocalonych z wojny. To trochę jak znalezienie w piwnicy rodzinnego domu pudełka z biżuterią prababci.



Inauguracja roku na WPIA Uniwersytetu Łódzkiego, 2024 rok (fot. Paweł Łacheta)

odświeżono i ukonstytuowano uniwersytecki ceremoniał akademicki, który obowiązuje do dziś. Kogóż nie wzrusza tradycja pojawienia się senatu UŁ na uroczystych sesjach, słowa: *Proszę wstać, idzie Senat!* i towarzysząca chwili pieśń *Gaudeamus*?

Kolejne lata przynosiły kolejne wyzwania. Nie tylko naukowe i dydaktyczne. Także polityczne. Marzec 1968, lata 1980, 1981... W roku 1981 roku studenci Uniwersytetu Łódzkiego przystąpili do strajku okupacyjnego. Trwał od 6 stycznia do 18 lutego, czyli pełne 29 dni, podczas których studenci nie wychodzili z gmachów swoich wydziałów (m.in. polonistyka i anglistyka przy al. Kościuszki 65), a Łodzianie przynosili im koce, kanapki a nawet... ogórki kiszzone i grzybki w occie. Dzięki wsparciu Łodzian studenci czuli, że tym razem się uda. Udało się kilka lat później... ale był to najdłuższy strajk studencki w Europie!

Noblistka

Wśród profesorów UŁ byli wykładowcy, którzy wywarli wpływ na przyszłych noblistów — m.in. logicy i językoznawcy związani z Łódzką Szkołą Semiotyki. W 2025 roku Anna Raczkowska, studentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Łódzkim, została laureatką Studenckiego Nobla 2025.



Protest studentów pod BUŁ w 1968 roku (fot. archiwum UŁ)



Zbiory specjalne Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego (fot. archiwum UŁ)

Miasto filmu i nauki

Katedra Filmu i Mediów Audiowizualnych jest najstarszym w Polsce uniwersyteckim ośrodkiem badań filmoznawczych. Założona została w roku 1959, jako Zakład Wiedzy o Filmie przez prof. Bolesława Lewickiego, pioniera polskiego filmoznawstwa.



Strajk studencki przed Uniwersytetem Łódzkim w 1981 roku (fot. domena publiczna)

Księgozbiór, który cudem przetrwał

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego przejęła część księgozbioru z przedwojennej Wolnej Wszechnicy Polskiej oraz zbiorów prywatnych ocalonych z wojny. To trochę jak znalezienie w piwnicy rodzinnego domu pudełka z biżuterią prababci — bezcenne.

Opieka nad księgozbiorami uczonych, którzy odeszli jest tradycją BUŁ do dzisiaj. Na bazie jednego z nich powstało unikatowe w skali nauki światowej Centrum Badań nad Historią i Kulturą Basenu Morza Śródziemnego i Europy Południowo-Wschodniej im. Waldemara Cerana (Ceraneum).

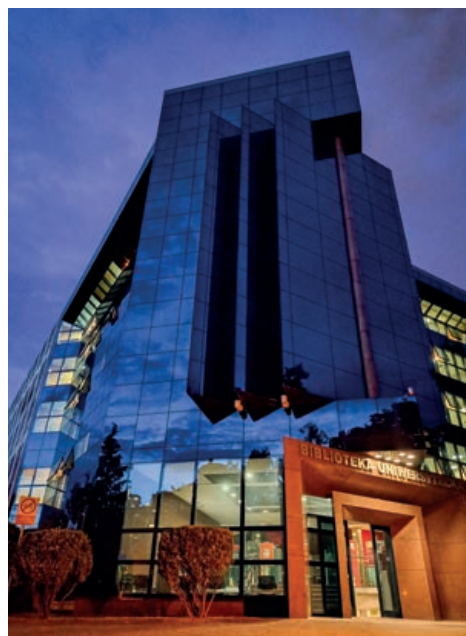
Warto dodać, że Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego dysponuje jednym z najbogatszych w Polsce zbiorem muzykaliów.

Julian Tuwim nie ukończył studiów ale...

Julian Tuwim zrezygnował ze studiowania prawa na Uniwersytecie Warszawskim już w pierwszym roku nauki. Powiedział wówczas: *Poczekam, aż dadzą mi doktorat honoris causa*. I dali... w 1949 r. ten tytuł przyznał poecie uniwersytet jego ukochanego miasta – Uniwersytet Łódzki.



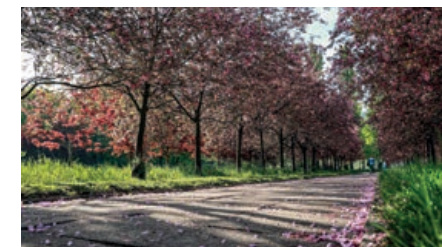
Anna Raczkowska ze „Studenckim Noblem” za działalność społeczną (fot. archiwum UŁ)



Nowy budynek Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego (fot. Marcin Przewieś)

Odrobina statystyki

Wydziały	13
Kierunki studiów	168
Nauczyciele akademicy, profesorowie, pracownicy administracyjni	ok. 4000
Studenci	ok. 26000



Kwitnące drzewa owocowe na terenie kampusu Uniwersytetu Łódzkiego (fot. Wojciech Jastrzębski)



Budynek Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego widoczny od strony kampusu (fot. Marcin Przewieś)



Widok na ul. Uniwersytecką z jednego z budynków Rektoratu UŁ. W tle widoczne zabudowania Wydziału Nauk o Wychowaniu (fot. Patryk Wacławiak)



Wnętrze Pałacu Alfreda Biedermanna – reprezentacyjnego
budynku Uniwersytetu Łódzkiego FOT. PATRYK WACŁAWIAK

DZIEWCZYNY LUBIĄ BAD-BOYÓW I POETÓW

Wywiad z Ryszardem Czubaczyńskim

ABSOLWENTEM UNIwersYTETU ŁÓDZKIEGO Z 1960 ROKU,
SCENARZYSTĄ, POETĄ, BYŁYM DYREKTOREM
MUZEUM MIASTA ŁODZI

Rozmawia – Dorota Ceran



FOT. DOROTA CERAN

Człowiek, dzięki któremu Polska dowiedziała się, że Łódź to miasto wielkoformatowej rozrywki, miasta poezji, teatrów i satyry. Wspomnijmy choćby tylko niezapomniany cykl programów telewizyjnych pt. „Dobry wieczór, tu Łódź”. Widowisko w latach 70. i 80. gromadziło przed ekranami telewizorów setki tysięcy Polaków z całego kraju. I tylko dlatego, że nie każdy miał w domu odbiornik, były to setki tysięcy a nie miliony. Schody, pawie pióra, brokaty, soliści, ensemble, orkiestry – te oszałamiające spektakle zawdzięczała Polska właśnie Ryszardowi Czubaczyńskiemu.

W 1988 roku Łódź powierzyła mu pieczę nad Muzeum Miasta Łodzi. Tam, aż do 2011 roku, w wypieszczonym, pięknym ogrodzie pałacu Poznańskich, można było spotkać dyrektora doglądającego okiem gospodarza każdą roślinę, każdy gzyms i ornament.

Dorota Ceran: Wybrał Pan studia na Uniwersytecie Łódzkim, mimo że pochodziąc ze Skierniewic, miał Pan równie blisko do Łodzi, jak i do Warszawy. Skąd ten wybór?

Ryszard Czubaczyński: Byłem prowincjuszem ze Skierniewic, ale skończyłem tam dobre liceum im. Bolesława Prusa. Moi rodzice chcieli, żebym był inżynierem. A mieli wpływ na jedynaka... Były wówczas tzw. dyplomy umożliwiające dostanie się na studia bez egzaminów. Miałem dobre wyniki z różnych przedmiotów, także ze ścisłych. W Warszawie zapisany byłem na wydział Inżynierii Sanitarnej Politechniki Warszawskiej. Tak się złożyło, że do egzaminów na filologię polską (do której mnie ciągnęło) w Łodzi, było gdzieś około dwóch tygodni. Zatem, by zaspokoić oczekiwania rodziców, złożyłem papiery i tu i tu, ale postanowiłem, że jeśli dostanę się na polonistykę w Łodzi, to postawię rodziców przed faktem dokonanym.

W bójkach nie uczestniczyłem. A ustawek nie było... Ale byli tacy różni o ksywach – np. Księżę Nocy i wiadomo było, że na nich trzeba uważać.

Przyjechałem na Uniwersytet Łódzki na ten egzamin i od razu zacząłem od... pecha. Bo kiedy jechałem pociągiem, jakaś przekupka wiozła owoce, czy jakieś warzywaw koszyku, a ja otwierając jej drzwi zahaczyłem o drut jej koszyka i rozdarłem spodnie. Moje jedyne, przeznaczone na egzamin, garniturowe spodnie! Miałem wielkie rozdarcie na kolanie. No i jak tu stanąć do egzaminu...?

Ale nie zrezygnował Pan?

Nie. Stałem przed komisją, a dłonią zakrywałem kolano. Członkowie komisji raczej zwrócili uwagę na te moje rozpaczliwe gesty, a nie na samo rozdarcie. W komisji był wówczas dziekan, profesor Stefan Hrabec¹. I mówi do mnie: *Co pan tak się wierci?* A ja szczerze opowiedziałem, co się stało. Członkowie komisji śmiali się, ale egzamin poszedł mi na tyle dobrze, że mnie w rezultacie przyjęto. Odczytałem później swoje nazwisko na liście w gablocie na Lindleya²... to było bardzo stresujące – jestem na liście, czy nie jestem...? Polonistyka była wówczas małym kierunkiem, było nas 35 osób.

To faktycznie było was bardzo mało. Kiedy ja zaczynałam studia na tym samym kierunku w 1984 roku – była nas blisko setka... I przeważały dziewczyny. A jak było w 1955 roku?

Sadzę, że było wtedy około 60% kobiet. Było sporo mężczyzn, niektórzy – bardzo zdolni.

Przyjechał Pan do obcego miasta. Gdzie Pan zamieszkał?

Zamieszkałem w akademiku na Bystrzyckiej³. To był znany akademik...

Jak Łódź wyglądała wówczas w Pana oczach?

Piotrkowska była brukowana. Pamiętam, miałem takiego cicerone w postaci doświadczonego Łodzianina, nota bene nieżyjącego już poetę – Jerzego

¹ Stefan Hrabec – polski językoznawca, profesor i rektor Uniwersytetu Łódzkiego.

² Na fasadzie budynku Rektoratu UŁ przy ulicy Lindleya były wywieszane gabloty z listami osób przyjętych na konkretne wydziały i kierunki; nazywano to miejsce „ścianą płaczu” (przyp. – DC)

³ obecnie ulica Patrice'a Lumumby

Wilmańskiego. Był starszy ode mnie przynajmniej pięć lat. A najstarszy na roku miał już chyba 34 czy 36 lat. Do najstarszych należała również znana później pani, późniejsza szefowa Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, Krystyna Bobrowska. Między nami było aż 12 lat różnicy! Zresztą, ja na roku w ogóle byłem najmłodszy. Bo poszedłem do szkoły rok wcześniej i na pierwszym roku studiów miałem 17 lat. Tu dygresja rodzinna – sporo nauczyłem się w Niemczech, gdzie mnie wywieziono wraz z rodzicami, którzy zostali zesłani tam na przymusowe roboty. Mnie przyuczano do tego, by zostać w Niemczech i już tu nie wracać. I dlatego byłem dosyć dobrze przygotowany i wzięto mnie od razu do drugiej klasy szkoły podstawowej i ten rok miałem zawsze w zapasie.

To raczej dobrze.

Różnie. Trochę dobrze, trochę źle, ale dawałem sobie radę. Wracając do tematu – jak wspomniałem, Piotrkowska była brukowana. Wilmański, który był patriotą Łodzi, opowiadał mi o tym, jak sobie tutaj fabrykanci żyli i wprowadził mnie w atmosferę Łodzi.

Podobała się Panu ta atmosfera?

Trochę byłem zszokowany, nie wiedziałem, jak mi się tu będzie żyło, jak będę mieszkał w tym akademiku, jak się będzie to wszystko układało.

A pierwsze zajęcia, wykłady?

Pierwsze wykłady zrobiły na mnie bardzo duże wrażenie. Między innymi był pan Stanisław Kaszyński⁴, który był wtedy asystentem i bardzo dobrze nawiązywał kontakt ze studentami. Bardzo dobrze pamiętam jego wykłady. Była też na polonistyce profesor Stefania Skwarczyńska⁵, sławna profesorka... Mogę się pochwalić, że bardzo mnie lubiła, bo lubiłem dyskusje i zadawałem jej pytania, które ukierunkowywały niektóre seminaria. Miałem z nią sporo kontaktów...

⁴ Stanisław Kaszyński – teatrolog i historyk teatru, krytyk, tłumacz dramatów i poeta. Był wybitnym znawcą życia teatralnego Kalisza i Łodzi. W 1950 r. został zastępcą asystenta w Katedrze Historii Literatury Polskiej UŁ

⁵ Stefania Maria Salomea Skwarczyńska – teoretyczka i historyczka literatury, teatrolożka, obdarzona tytułem profesora zwyczajnego i doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego

A co było najbardziej zaskakujące?

Samodzielność. Bo trzeba było o sobie samym myśleć, nikt niczego nie podtykał... koledzy, z którymi mieszkalem, też byli „zagraniczni”. Pamiętam, że jeden był z Wielunia (Janek Mączyński, który dzisiaj jest profesorem na filologii)... zresztą jak to w akademiku, byliśmy z różnych miejsc.

Gdzie wówczas była siedziba wydziału?

Na Lindleya. I tam głównie mieliśmy wykłady. Dostyc ponure były te sale, ciasne. Blizutko była Biblioteka Uniwersytecka, to więcej się tam siedziało.

A gdzie się Pan stołował?

Stołówka była na Buczka⁶. Chociaż i w akademiku można było coś sobie przyrządzić we wspólnej kuchni. Zwłaszcza śniadanie – jakieś płatki owsiane czy jajecznice.

A gdzie się studenci wtedy bawili?

Bystrzycka była wtedy wyposażona w takie sale, w których odbywały się cosobotnie potańcówki, było małe kino. Różnie to bywało, bo tam grasowały jakieś bandy, które na studentów napadały, więc było też trochę grozy przy tym wszystkim.

Pan był świadkiem takich wydarzeń?

⁶ Obecnie – ulica Aleksandra Kamińskiego

W bójkach nie uczestniczyłem. A ustawek nie było... Ale byli tacy różni o ksywach – np. Księżę Nocy i wiadomo było, że na nich trzeba uważać. A u pani Wiśniewskiej wino można było kupić. Miała u siebie w chałupie w pobliżu akademików taki nielegalny kantorek.

To w ramach życia w akademikach. A jakieś wypadki „na miasto”?

Było tego sporo, bo jak już się na tej filologii zadomowiłem, zacząłem się rozglądać, czym mógłbym się jeszcze zajmować? A ponieważ w liceum grałem w siatkówkę (mieliśmy dość dobrą drużynę, która wygrywała międzylicealne spotkania) więc pierwsze tropy prowadziły w miejsca, gdzie mógłbym grę kontynuować. Oczywiście, nie zawodowo, ale jakoś tak bardziej profesjonalnie. I była taka możliwość – zapisałem się do AZS-u. I tu zaczęły się nowe koleżeństwa.

Sportowe i w związku z tym międzywydziałowe?

Zdobyłem większe poważanie, bo większość kolegów nie była sportowcami i trochę zazdrościli. Znalazłem się w zupełnie nowym środowisku i tam zawarłem długoletnią znajomość z Cyprianem Kosińskim⁷. Był ode mnie rok starszy, pół głowy wyższy i miał naprawdę wybitne osiągnięcia siatkarskie. Pochodził ze sfery łódzkiej inteligencji, troszeczkę snobistycznej. Jego ojciec, pan inżynier, organizował spotkania brydżowe i inne... nota bene – Kosiński miał ładną siostrę. I ja się z tą siostrą randkowo spotkałem ze dwa razy. Ale to było takie smarkackie dosyć. Cyprian mi potem mówił śmieszne rzeczy: *Wiesz, podobasz się mojej siostrze, tylko mów, że jesteś taki trochę wymuskany. Przydałoby się, żebyś miał szramę na policzku.*

Bo dziewczyny lubią bad boyów...

Może faktycznie... Wśród kolegów miałem takich, którzy w przyszłości stali się ludźmi sławnymi. Jednym z nich był Jarosław Marek Rymkiewicz⁸, który

⁷ Cyprian Kosiński – inżynier chemik i zawodowy siatkarz, który sprowadził do Łodzi kapitał (ok. 270 mln euro) z Grupy Rotschilda i w ten sposób doprowadził do budowy łódzkiej Manufaktury

⁸ Jarosław Marek Rymkiewicz – poeta, eseista, dramaturg i krytyk literacki, profesor nauk humanistycznych

w ostatnich latach był jaki był⁹... A był przecież bardzo zdolny. Znał perfektnie angielski. Obaj z Wilmańskim już wtedy pisali wiersze, które im drukowano. I ja też starałem się napisać jakieś wiersze, żeby im dorównać. Ale szczerze mówiąc, naprawdę bardziej interesował mnie sport.

I osiągał Pan w sporcie sukcesy?

Miałem raczej średnie wyniki. Ale za to zetknąłem się z paroma ważnymi wtedy ludźmi. Byli wśród nich reprezentanci Polski, jak Tietianiec¹⁰, Radomski¹¹ był moim trenerem. To były znajomości, które tworzyły dla mnie nowe środowisko, obok akademickiego. Bardzo to sobie ceniłem. Nie tylko ta filologia i koledzy wokół niej, i nie tylko dyskusje: *A już nauczyłeś się na zajęcia ze staro-cerkiewno-słowiańskiego?*

Ojej, s-c-s – pamiętam ze studiów jako straszną traumę...

A ja lubiłem.

Poważnie?!

Tak. Był bardzo zabawny. Do dzisiaj pamiętam fragmenty (*tu Pan Ryszard cytuje fragment tekstu w języku staro-cerkiewno-słowiańskim*).

I jak ja mam to zapisać?!

To może łatwiejsze: „Не даждьте святое псомъ, ни верзите жемчуга къ свинямъ”¹². Wiele mógłbym tu cytować... To było naprawdę bardzo zabawne. I dlatego się człowiek uczył tego.

No ale gramatyka s-c-s nie była łatwa.

⁹ Poeta w ostatnich latach swojej twórczości zdecydowanie opowiedział się po stronie konkretnego nurtu politycznego i światopoglądowego; w 2017 roku wybrane wiersze poety zostały dołączone do wykazu lektur szkolnych (dla klas VII-VIII szkoły podstawowej); pojawiły się jednak głosy krytyczne, argumentujące, że wpis do wykazu lektur był motywowany politycznie; utwory Rymkiewicza usunięto z wykazu lektur w 2024, co także wywołało krytykę

¹⁰ Leonard Tietianiec – siatkarz, mistrz (AZSAWF Warszawa) i reprezentant Polski, brązowy medalista Letniej Uniwersjady (1959), następnie trener

¹¹ Marian Radomski, używał imienia Marek – siatkarz, mistrz i reprezentant Polski

¹² Nie dajcie świętego psom, ani nie rzucajcie pereł przed świnię



Nadanie doktoratu honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego profesorowi Tadeuszowi Kotarbińskiemu (fot. arch. lodz.pl)

Była nudna, co tu dużo mówić.

A gdzie się przeważnie uczyliście?

Przede wszystkim w Bibliotece Uniwersyteckiej. Tam był spokój, a my przecież mieliśmy bardzo dużo lektur do przeczytania. Zdarzyło mi się kilka razy zasnąć nad książką tak, że spadła z pulpitu...

Kto był rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, kiedy rozpoczął Pan studia?

Kiedy dostałem się na uczelnię, czyli w 1955 roku rektorem był profesor Adam Szpunar¹³. Jego poprzednikami byli – profesor Tadeusz Kotarbiński (pierwszy rektor UŁ), profesor Józef Chałasiński i profesor Jan Szczepański. Byli to wybitni uczeni, którzy nobilitowali naszą uczelnię i wysoko stawiali ją wówczas w rankingach, choć nikt wtedy nie robił rankingów oficjalnych, takich, jakie znamy dzisiaj. Nam, studentom, dawało to często asumpt do chwalenia się.

¹³ Adam Szpunar – prawnik specjalizujący się w prawie cywilnym, rektor Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1956 – 1962

Do dzisiaj tak jest, że na wyższych studiach obowiązuje relacja mistrz-uczeń. Tak być powinno?

Tak. Ale studiowanie polega też na tym, że student powinien też sam bardzo dużo rzeczy wybierać, dodawać do dyskusji... dzisiaj jest o tyle inaczej, że są różne specjalizacje. Wtedy takiego urozmaicenia nie było, bo to i żadnych sprzętów się nie używało, ani magnetofonów, ani wideo... to było nieporównywalne z dniem dzisiejszym. Więc albo się miało do profesora zaufanie i słuchało się go z zapartym tchem albo, jeśli zaufania nie było – wypuszczało się bokiem, co mówił. A przecież byli i tacy.

A czego studenci nie lubili?

Studium Wojskowego, bo było niesamowicie upierdliwe. Wstawało się o piętej rano, bo o szóstej trzeba było być na Lindleya. Pamiętam smród tej oliwionej broni... Potem wyruszało się gdzieś na poligon i cały dzień był wojskowy.

Zmarnowany?

No tak. Przebieraliśmy się w takie łachmany, niby wojskowe... dzisiaj te mundury są bardziej przyjemne. Mój wnuk Kajetan jest wielbicielem wojska, niedawno odbył nawet takie szkolenie...

A jak wyglądały same zajęcia. Te kierunkowe. Czy to były tylko wykłady i ćwiczenia, czy wprowadzano jakieś nowe metody?

Nie... były wykłady, potem seminaria. Na wykładach były podawane różne lektury, które trzeba było przeczytać. A na seminariach były one rozgryzane pod różnym kątem. Były też colloquia, które się wyrywkowo zdawało.

Dla mnie najbardziej niemiłe były wszystkie zajęcia i tematy językoznawcze. To rozkładanie na czynniki pierwsze wszystkiego. To nawet nie było trudne do nauczenia, ale było strasznie nudne.

Nawet w wykonaniu profesora Witolda Śmiecha?!

Ach! To był uroczy człowiek, który tę gramatykę opisową starał się faktycznie uczłowieczyć.

Na czas pana studiów przypada 1956¹⁴ rok, czyli rok politycznej burzy i politycznej aktywności studentów. Czy Pan się w to jakoś angażował?

Nie. Nie byłem w to w ogóle zaangażowany. Dla mnie było to dziwne wydarzenie. Jako przybyły z mniejszego ośrodka nie miałem tego typu priorytetów.

Mimo że oczywiście polityka miała wpływ na wszystko. Nawet na sposób, w jaki mieliśmy się ubierać, jak wyglądać. Nie wolno było np. nosić długich włosów, bo to świadczyłoby o wzorowaniu się na zachodnim stylu życia.

W 1956 roku jeszcze nie, ale już później zacząłem się w tym rozeznawać i rozumieć, o co chodzi. To dzięki kolegom, lekturom...

Było wówczas wiele książek na tzw. indeksie. Były zakazane. Czytał Pan coś „pod ławką”?

Tak. To był np. Hłasko¹⁵. Była „Lolita” Nabokova, ciekawa od strony obyczajowej. Ale przede wszystkim jednak czytałem mnóstwo lektury obowiązkowej. Podręczniki... Poza tym próbowałem słuchać Radia Wolna Europa. Była zagłuszana, co tym bardziej smakowało jako owoc zakazany.

Muszę się przyznać, że nie byłem zbyt pilnym studentem. Uczyłem się po łebkach niektórych rzeczy. Mogłem głębiej... Ale ponieważ zdawałem egzaminy jakoś i doraźnie potrafiłem się douczyć, to jakoś szło...

Ale z moich obserwacji wynika, że o tych, którzy jako studenci mieli piątki od wojska po ekonomię polityczną, świat później jakoś nie słyszał... A ci, co uczyli się tego, co ich naprawdę interesowało i robili to, co było dla nich ciekawe, często więcej osiągnęli.

No było bardzo wiele ciekawych rzeczy... na przykład „Honoratka”¹⁶.

¹⁴ Rok 1956 był znaczącym przełomem w systemie komunistycznym, co objawiło się Odwilżą Październikową w Polsce i Powstaniem Węgierskim. W Polsce Władysław Gomułka doszedł do władzy, co przyniosło koniec terroru stalinowskiego, złagodzenie prześladowań, zwolnienie prymasa Wyszyńskiego i wstrzymanie kolektywizacji.

¹⁵ Marek Hłasko – pisarz i scenarzysta filmowy. Jest autorem takich dzieł jak *Pierwszy krok w chmurach*; *Ósmy dzień tygodnia*; *Następny do raju*; *Palcie ryż każdego dnia*. Po wyjeździe za granicę został napiętnowany przez ówczesne polskie władze.

¹⁶ Kawiarnia „Honoratka” w Łodzi – nieistniejąca łódzka powojenna kawiarnia, działająca jako lokal prywatny w latach 1948–75 na parterze XIX-wiecznej frontowej kamienicy wzniesionej przez Ludwika Meyera przy ul. Stanisława Moniuszki 2 (dawnym pasażu Meyera) w Łodzi, miejsce spotkań łódzkiej bohemy

Często bywał Pan w "Honoratce"?

Starałem się tam zaglądać jako student. Później już w trochę innej roli. Imponowało mi, że bywali tam też filmowcy, chodziło się ich śladami, wypytywało się o nich, o ich życie, o to, co zrobili... Spacer Piotrkowską też dostarczał dużo różnych atrakcji. Był taki sprzedawca, który zawsze krzyczał *Sznurówki, sznurówki!* Był Edek „Krawaciarz”, który sprzedawał krawaty. Potem mówiło się, że zrobił biznes, bo bony dolarowe także sprzedawał.

Wstęp do Grand Hotelu mieliśmy dopiero gdzieś na czwartym roku.

Zatem, jak widać, dużo rzeczy mnie rozpraszało. Rozglądaliśmy się przecież za dziewczynami, po to były też te wszystkie potańcówki. A pary tworzyły się zazwyczaj w ramach naszego, studenckiego środowiska, bo po prostu łatwiej było się spotkać, poznać. Mnie postrzegano jako siatkarza i jako młodego poetę, więc to się dziewczynom mogło podobać.

A czy było wówczas zjawisko dzisiaj tak dobrze nam znane – snobowanie się na coś?

Byliśmy za żelazną kurtyną i każdy marzył o dzinsach. Były dostępne za 12 czy 14 dolarów w sklepach dewizowych PeKaO¹⁷. A w większym wymiarze – kulturowym, wrażenie robili raczej nasi twórcy, jak Hłasko, Grochowiak. Białoszewski ze swoimi literackimi eksperymentami.

Był też światek ludzi, którzy mieli telewizory. O! To był prawdziwy snobizm wtedy! Telewizory były wtedy tak straszne, że dzisiaj by się nawet kopnąć tego nie chciało. Ale jednak można było coś tam obejrzeć.

A później nastąpiła era „Pstrąga”¹⁸.

W pewnym momencie stanąłem przed wyborem – albo sport, albo teatr. W sporcie dąży się do tego, żeby być najlepszym, prawda? A ja wiedziałem, że nie mam do tego ani warunków ani talentu. I „Pstrąg” zaczął mnie coraz bardziej wciągać. Zaczęto tam coraz bardziej polemizować z władzą. Pewne rzeczy można było sprzedawać aluzjami... dlatego był to piękny teatr. Aluzja, inteligencja, błyskotliwość... Była to forma walki z ustrojem. A byliśmy bardzo cenzurowani.

¹⁷ Funkcjonowały do 1972 roku, kiedy zastąpiły je sklepy PEWEX

¹⁸ Studencki Teatr Satyry „Pstrąg”

Jak sobie z tą cenzurą radziliście?

Była taka pani cenzorka, Żydówka, Lorberowa¹⁹, która zakochana była w „Pstrągu”. Uważała, że tam są bardzo inteligentni ludzie i dużo nam wybaczła i tym samym – puszczała. A to była cała historia, żeby ocenzurować program. To była wyższa szkoła skojarzeń („To państwo wszystkiemu winne. To państwo, proszę państwa.”).

A można było po wyjściu na scenę zignorować uwagi cenzora i mówić swoje?

Trzeba było uważać, bo to groziło rozwiązaniem teatru po prostu. Zagrożenie płynęło ze wszystkich stron. Ale można było negocjować. Zresztą „Pstrąg” nie był taki najostrzejszy. Wówczas był urodzaj takich teatrów. STS w Warszawie powstał... „Kalambur” we Wrocławiu. Teatr Afanasjewa w Gdańsku i inne. I wszystkie przemycaly wiele aluzji politycznych.

I twórcami byli tylko studenci?

Tak. Takim guru był Jan Skotnicki²⁰, późniejszy prorektor warszawskiej Szkoły Teatralnej. On sam był uzdolniony aktorsko, a poza wszystkim... bardzo inteligentny człowiek. Był wówczas po ciężkiej operacji serca, mimo to działał bardzo aktywnie.

Był Julian Brysz²¹, który potem wyjechał do Francji. Był świętej pamięci Leszek Skrzydło²², który później pracował w Wytwórni Filmów Oświatowych. Oni wszyscy dla nas pisali. A muzykę tworzyli wspaniali, nieżyjący już – Piotr Hertel i Piotr Marczewski.

Kiedy byłem na czwartym roku studiów, inspirując się doświadczeniami z „Pstrąga” założyłem Estradę Poetycką dla tych, którzy umieli i lubili recytować. Zresztą sam byłem wtedy niezłym recytatorem i zająłem II miejsce na konkursie recytatorskim. Recytowałem wtedy „Fortepian Chopina” Norwida. Estrada funkcjonowała... w akademikach. Widownia siadała sobie na podłodze i to było naprawdę fajne, zwłaszcza, że przychodziło po 50, 60 osób.

¹⁹ Maria Lorberowa, naczelnik wojewódzkiego Urzędu Cenzury

²⁰ Jan Skotnicki – reżyser filmowy i teatralny, aktor

²¹ Julian Brysz, scenarzysta filmowy (m.in. „Pałace Ziemi Obiecanej”)

²² Leszek Jerzy Skrzydło – dziennikarz, podróżnik, reżyser filmów dokumentalnych i oświatowych, m.in. „Rody fabrykanckie”

Ale Pan też pisał dla „Pstrąga”.

Tak. Z tym, że oni robili adaptacje. Między innymi „Klucz niebieski” – adaptacja według Leszka Kołakowskiego. Bardzo ostra, która przyniosła nam sławę w całym kraju. Mieliśmy w Warszawie występ z tym spektaklem i pamiętam, jak same tuzy (Holoubki, Skolimowscy i inni...) siedziały na schodkach żeby nas zobaczyć, takie było przepełnienie. Bo to było naprawdę bardzo interesujące. No i splendor był duży.

A ja? Tak, autorsko też się zaangażowałem i pisałem głównie teksty piosenek. Ale też zrobiłem kilka adaptacji.

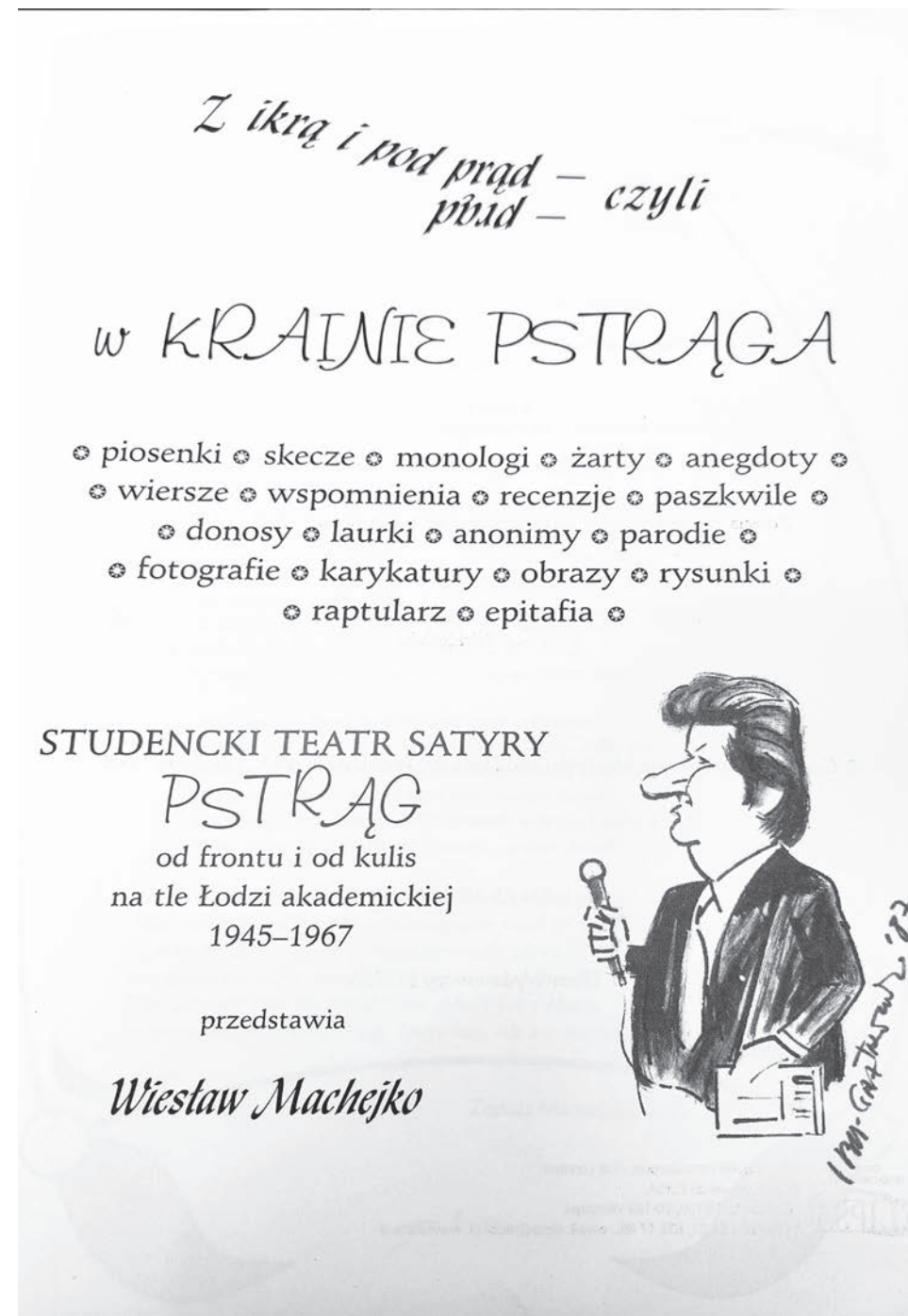
Myśmy jako jedyni jeździli za granicę na festiwale np. do Belgii na Festiwal Teatrów Studenckich. Dostawało się 5 dolarów kieszonkowego i jednego ubeka, który pilnował. No i jechaliśmy z całym zespołem.

A kiedy Jasio Skotnicki wyjechał do Warszawy, ja zostałem kierownikiem artystycznym teatru. Ale to już było kilka lat po studiach.

Ot, taki mój życiorys studencki. Czy ciekawy? Nie, mnie oceniać. Ale wyzwolił we mnie aktywność na dalsze lata.



Stary budynek Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego według projektu Edmunda Orlika i Eugeniusza Budlewskiego z biura „Miastoprojekt Łódź” (fot. wikimedia commons)



Plakat Studenckiego Teatru Satyry „Pstrąg” (fot. arch. lodz.pl)



PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA, TELEWIZYJNA I TEATRALNA W ŁODZI



O PWSFTVIT W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI



Na samym początku drogi

Swój początek Łódzka Szkoła Filmowa wywodzi z utworzonego w Łodzi w marcu 1945 r. Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, którego dyrektorem był jeden z najwybitniejszych polskich aktorów – Aleksander Zelwerowicz.

W 1946 r. powstało Wyższe Studium Filmowe, po roku przekształcone w Wydział Filmowy Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Kształcono tam na kierunkach: operator filmowy i scenograf.

Dwa lata później studenci PIST i WSF przenieśli się do Pałacu Oskara Kona przy ul. Targowej 61, która do dzisiaj jest jednym z najsłynniejszych adresów na świecie za sprawą wybitnej uczelni. Jednak dopiero w 1950 r. Wyższa Szkoła Filmowa uzyskała status instytucji artystyczno-naukowej w wymiarze akademickim i przyjęła nazwę Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej. Od 1954 r. nazwa przybrała znacznie bardziej rozbudowaną formę i brzmi Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera. Nazwa jest bardzo długa... więc w praktyce bywa też używana skrótowa i marketingowa nazwa Szkoła Filmowa w Łodzi.

Bardzo szybko uczelnia stała się Mekką dla młodych ludzi, którzy chcieli swój los związać ze sztuką filmową i teatralną, marzyli, by zostać aktorami, reżyserami, operatorami, realizatorami telewizyjnymi czy szefami produkcji. Jej mury opuściły całe zastępy gwiazd światowej sławy, ludzi tworzących wybitne dzieła i formacje artystyczne. To absolwenci tej uczelni stworzyli wybitne zjawisko zwane polską szkołą, czyli Andrzej Munk, Janusz Morgenstern. To tu powstała idea kina moralnego niepokoju.

Są schody w szkole na Targowej w Łodzi, które nie grały w filmowych bestsellerach, a są wyjątkowo słynne. Prowadzą do sali projekcyjnej i wysłuchały niejednego artystycznego manifestu gwiazd światowego kina.

Schody, schody, schody...

Film kocha schody. Są takie fotogeniczne. A wśród nich – Schody Potiomkinowskie w Odessie, które grały w niemyim filmie „Pancernik Potiomkin” Siergieja Eisensteina, schody do Muzeum Sztuki w Filadelfii znane z treningu „Rocky'ego”, czy Schody Hiszpańskie z filmu „Rzymskie wakacje”. Całe mnóstwo schodów „grających”. Ale są schody w szkole na Targowej w Łodzi, które nie grały w filmowych bestsellerach, a są o niebo słynniejsze. Prowadzą do sali projekcyjnej i wysłuchały niejednego artystycznego manifestu gwiazd światowego kina. Bo gwiazdy te, z Romanem Polańskim na czele, zwykli obsiadać stopnie niczym kolorowe ptaki i... snuć na nich marzenia, które się potem spełniały.



Studenci, w tym Roman Polański (na środku), na słynnych schodach w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi (fot. domena publiczna)

Cierpliwości, może następnym razem się uda?

Dostanie się do „Filmówki” wymaga od kandydatów uporu i determinacji. W jej historii znamy przypadki aktorów, reżyserów i operatorów, którzy przez wiele lat próbowali, aż w końcu dopięli swego. Krzysztof Kieślowski trzy razy próbował przekonać do siebie komisję, Janusz Gajos aż cztery razy, Cezary Pazura dwa...

Jedyne takie egzaminy

Wokół egzaminów wstępnych do Filmówki rozlało się morze legend. Oto kilka z nich, krążących wśród studentów innych uczelni. Autorka tego opracowania nie bierze żadnej odpowiedzialności za autentyczność tych opowieści. Prawdą jest to, że są w stałym obiegu:

1. Podczas egzaminu Filip Bajon, znany reżyser i członek komisji, zapytał kandydatkę na Wydział Aktorski czy zna jakichś węgierskich poetów. Gdy odparła, że nie, Bajon skomentował, że w takim razie będzie się w szkole czuła obco.
2. Pokazują kandydatowi zdjęcie – typowy artystyczny chaos: wózek, doniczka, pies i mały chłopiec w pelerynie. Kandydat zaczyna płynnie:
 - Chłopiec jest symbolem niewinności, pies to lojalność, a doniczka...

Tu profesor przerywa:

- To jest zdjęcie z mojego ogródka. Chłopiec to mój wnuk, doniczka stała tam zawsze, a pies uciekł sąsiadom. Co dalej?

Kandydat bez mrugnięcia:

- Wciąż podtrzymuję wersję symboliczną. Podobno został przyjęty. Za konsekwencję.

3. – O czym jest pański scenariusz?

- O chłopaku, który chce zdać do Filmówki.
- I co jest jego największą przeszkodą?
- Komisja egzaminacyjna.
- Dziękujemy, proszę czekać na wyniki.

Dostał się ponoć. Komisja miała poczucie humoru.

Polański bez dyplomu

Tak tak... wybitny absolwent Filmówki, Roman Polański wprowadził przeszedł przez wszystkie lata edukacji, ale... dyplomu nie uzyskał, ponieważ nie napisał pracy teoretycznej. Zatem – magistrem sztuki nigdy nie został.

Odrobina statystyki

Wydziały	4
Kierunki studiów	8
Profesorowie	15
Nauczyciele akademicki	41
Studenci	ok. 900



Krzysztof Kieślowski jest jednym ze znanych absolwentów łódzkiej „Filmówki” (fot. domena publiczna)



Ogród przy rektoracie PWSFTviT (fot. Stefan Brajter)



Studentki odgrywające scenę podczas zajęć na Wydziale Aktorskim (fot. Stefan Brajter)

WOLNY CZAS SPĘDZALIŚMY W SZKOLE

Wywiad z Zofią Uzelac

ABSOLWENTKĄ PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY FILMOWEJ,
TELEWIZYJNEJ I TEATRALNEJ Z 1973 ROKU, AKTORKĄ,
PROFESOREM SZTUKI, NAUCZYCIELEM AKADEMICKIM

Rozmawia – Dorota Ceran



Pani Zofia Uzelac, aktorka, pedagog, doktor habilitowany w dziedzinie sztuk teatralnych. Jest Łodzianką związaną z miastem i jego artystycznym życiem.

Już od czasów licealnych jej pasją był teatr, co zaowocowało wstąpieniem w szeregi studentów Wydziału Aktorskiego łódzkiej Filmówki. Z czasem została dziekanem tego wydziału, a jej rola w wychowaniu kolejnych pokoleń artystów jest nie do przecenienia.

Dorota Ceran: Jest Pani Łodzianką. Z tego, co wiem, ukończyła Pani XXI LO?

Zofia Uzelac: Tak. Oczywiście. I bardzo dobrze moje liceum wspominam.

To szkoła o wyraźnym profilu humanistycznym. Czy nauka właśnie tam, miała wpływ na pani życiowe, zawodowe wybory?

Naturalnie! Moją polonistką była wówczas Krystyna Ratajska, która została później profesorem wykładowym na Uniwersytecie Łódzkim. Jako nauczyciel próbowała przez całe swoje życie twórczo angażować zarówno siebie jak i inspirować nas, swoich uczniów. Przygotowywaliśmy pod jej kierunkiem różnego rodzaju przedstawienia a ja brałam zawsze udział we wszystkich. Poza tym – napisała świetne książki o Tuwimie¹, które bardzo polecam. Dzięki pani profesor ja naprawdę poczułam w sobie siłę, żeby spróbować.

Czy rodzice Panią wspierali w wyborze studiów aktorskich?

¹ Krystyna Ratajska, *Kraj młodości szczęśliwy; Julek. Podróże do krain wyobraźni Juliana Tuwima*

Wszyscy chodziliśmy do Teatru Nowego na przedstawienia Kazimierza Dejmka. To był ten czas, kiedy Łódź była stolicą polskiego filmu, stolicą telewizji, i, oczywiście – stolicą teatru, za sprawą Dejmka właśnie.

Mama tak, ojciec nie. Uparł się, żebym była lekarzem. Sam dostał się na medycynę przed wojną, a potem... wiadomo – wojna i różne przedziwne koleje losu. Ostatecznie nie skończył tej medycyny. I cały czas mnie namawiał.

Czyli własne marzenia chciał zrealizować w Pani osobie.

Tak. Ale to budziło we mnie odwrotny skutek. Zamiast wywołania entuzjazmu coraz bardziej mnie zniechęcało. Postanowiłam, że zrobię wszystko, żeby dostać się do szkoły aktorskiej.

I ojciec to zaakceptował ostatecznie?

Ostatecznie tak. Po egzaminach, kiedy się dostałam – zaakceptował.

Wśród studentów wszystkich innych uczelni krążyły niesamowite legendy dotyczące egzaminów wstępnych w Filmówce, zwłaszcza na wydział aktorski. Pytania typu: *Co by Pani zrobiła, jakby pani była mlekiem?* I odpowiedź: *Zsiadłabym się?* Ile w tym prawdy?



Zofia Uzelac podczas rozmowy z Dorotą Ceran (fot. Patryk Wacławiak)

To rzeczywiście był bardzo specyficzny egzamin. Ale ja tylko zdradzę, jaką radę dali mi przed nim starsi koledzy. Powiedzieli mi tak: *Jak będziesz bardzo zestresowana to wyobraź sobie całą komisję w kostiumach kąpielowych z kokardkami we włosach.* Wyobrazić sobie w ten sposób profesor Hannę Małkowską, która już wtedy była staruszką... No, ale niestety, stres był tak wielki, że mi tych kokardek nie wystarczyło. Ale faktycznie, starsi koledzy pomagali. A na czym ostatecznie polegał ten egzamin... otóż – polegał na sprawdzaniu wyobraźni, czyli predyspozycji do wykonywania tego zawodu, możliwości koncentracji, odwagi i – jeśli ktoś był z natury opanowany, stonowany – umiejętności przeżycia chwili szaleństwa. Czy kandydat umie wywołać w sobie emocje na tu i teraz. Chodziło o to, by sprawdzić, czy ten człowiek jest w stanie publicznie pokazać swoje wnętrze. Oczywiście, było to bardzo skomplikowane, ale... udało mi się!

Jakie zadania Pani dostała podczas tego egzaminu?

Kazali mi wyobrazić sobie, że wchodzę do zimnego stawu i chcę się w nim wykąpać. I nagle usłyszałam: *Ukradli ci ubranie!* To ja „wyskoczyłam ze stawu” i krzyczałam: *Oddajcie mi moje ubranie!* zaślaniając się oczywiście tu i tam.

Ale musiała Pani zaprezentować też wcześniej przygotowany tekst?

Ależ oczywiście! Przygotowałam tekst Juliana Tuwima „Zośka wariatka”. I wiersz dla dzieci „Spóźniony słowik”. Z prozy coś z Gabrieli Zapolskiej... No i piosenka – „Franceska”, oczywiście śpiewana a capella.

Duża była konkurencja?

To były czasy, kiedy w Polsce teatr był miejscem wymarzone dla wszystkich poszukujących artystów i w ogóle dla ludzi chcących przeżyć coś wyjątkowego, aby oderwać się od ówczesnej, smutnej rzeczywistości. Film też, ale on był jakby dodatkiem do tego wszystkiego. Najważniejszy był teatr. A w Łodzi mieliśmy przecież wspaniałe teatry, Teatr Nowy, Teatr im. Stefana Jaracza, Teatr Powszechny i m.in. studencki Teatr 77, znany na całym świecie. Wszyscy żyli teatrem i uważali go za coś wartego wyjątkowego poświęcenia. I warto było się starać, by chociaż na chwilę w tym teatrze pobyc. W związku z tym na jedno miejsce na wydział aktorski przypadało 40 osób.

A ilu było was ostatecznie na roku?

Na roku było ponad 20 osób, a ostatecznie do dyplomu przystąpiło 15.

Kogo spośród kolegów wspomina Pani jako najciekawszych aktorów?

Nooo, oczywiście – Bronisław Wrocławski². To, moim zdaniem, wyjątkowy talent, wyjątkowa pracowitość, wyjątkowa uroda... w ogóle wyjątkowy człowiek. On umiał wykorzystać już w szkole swój potencjał. Był najciekawszym wykonawcą scenek aktorskich. A ja zawsze byłam, od początku do końca studiów – starostą roku. I zajmowałam się organizacją całej grupy. Świetnie się zawsze czułam w grupie, z którą się dobrze pracowało. Za to Bronek był zawsze indywidualistą. Był zawsze bardzo oryginalny w pomysłach podczas wykonywania scenek.

Piotr Krukowski³! On był moim partnerem...

... życiowym?

Nie! Skąd!? Był moim partnerem scenicznym. U pani profesor Jadwigi Chojnackiej wykonywaliśmy wszystkie sceny klasyczne. Była kiedyś taka sytuacja: wchodzimy z Piotrem na scenę, a pani profesor Chojnacka krzyczy: *Proszę zejść ze sceny! Jeszcze raz powtórzcie!* To była metoda pani profesor aby student sam wiedział, którą nogą ma wejść na scenę. Bo to kiedyś było niezwykle ważne, żeby aktor wiedział, że jeśli wchodzi ze strony lewej, musi wejść prawą nogą, żeby widz mógł od razu go zobaczyć – twarz i całe ciało. Ale to było kiedyś... teraz się wszystko zmieniło.

Piotr miał intelektualny wpływ na całą grupę. Wymyślał, a potem wspólnie bawiliśmy się na ulicy improwizując takie scenki – na przykład głośno mówiłam: *Przed chwilą zgubiłam tu złoty pierścionek!* A ludzie podchodzili i pomagali nam szukać.

Performance albo trochę jak ukryta kamera...

Tak, dokładnie tak. Inspiracją do tego był dla nas „Teatrzyk Zielona Gęś” Gałczyńskiego. Przynosiliśmy propozycje na zajęcia a potem bawiliśmy się

² Aktor teatralny, filmowy i telewizyjny. Dziekan Wydziału Aktorskiego PWSFTviT w Łodzi w latach 1996-2002 oraz 2008-2012.

³ Aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, zasłynął później m.in. z roli kultowego Pana Samochodzika

tymi scenkami na ulicy z przypadkowymi przechodniami. Piotr był mistrzem improwizacji. Na przykład podczas przerw między zajęciami organizowaliśmy pokazy mody. I Piotr zapowiadał: *Moskiewski Dom Mody Fiedia prezentuje!* A potem każdy z nas musiał wykonać coś, co było nieprawdopodobną groteską. I nikt nas do niczego nie zmuszał. Sami ćwiczyliśmy. Mało tego! Myśmy wspólnie bardzo często pracowali do późnych godzin i nawet w nocy.

Na trzecim roku z powodu wyrzucenia z naszego roku dwóch kolegów musieliśmy zmienić teksty do egzaminu, a został nam niecały miesiąc do prezentacji. Ja wówczas przyniosłam tekst „Iwony, Księżniczki Burgunda” Witolda Gombrowicza, którego nikt wtedy nie znał. Pracowaliśmy codziennie prawie do rana pod kierunkiem profesora Andrzeja Maja i zakończyło się to naszym sukcesem.

Czy studenci to byli sami Łodzianie?

Z Łodzi były tylko Wanda Grzechkowska, Krystyna Michel oraz Hania Molenda, Gabrysia Sarnecka, Bronek Wrocławski, Piotr Krukowski i Piotr Binder.

I jako Łodzianie trzymaliście się razem?

Nie. Trzymaliśmy się razem wszyscy, całym rokiem.

A jak wyglądała wówczas Łódź, jak ją Pani pamięta?

Myśmy Łódź trochę oglądali przez pryzmat własnych pasji i zajęć. Wspominałam już o tych scenkach na ulicach. Ale też jeździliśmy ze scenkami,

*O ósmej rano
zaczynaliśmy albo taniec,
albo rytmikę, albo wf, potem
były zajęcia z prozy, z wiersza,
poza tym – historia filmu, historia
teatru, języki niemiecki i rosyjski.
A potem graliśmy sceny, następnie
znowu wiersz, monodram,
piosenka... a wieczorem
sami pracowaliśmy, aby to
następnego dnia pokazać.*

z programami do tzw. Klubów RUCHU. W Łodzi, ale też w Aleksandrowie, w Łasku, Zduńskiej Woli, w Piotrkowie Trybunalskim... Na przykład wystawialiśmy „spektakle”, które były fragmentami naszych egzaminów. Sami organizowaliśmy transport, potem były rozmowy z publicznością... I to naprawdę była nasza samodzielna, studencka inicjatywa.

Wszyscy chodziliśmy do Teatru Nowego na przedstawienia Kazimierza Dejmka. To był ten czas, kiedy Łódź była stolicą polskiego filmu, stolicą telewizji, i, oczywiście – stolicą teatru, za sprawą Dejmka właśnie. Kiedy oglądałam jego wybitne przedstawienia z pokorą myślałam sobie: *Boże, ile trzeba mieć w sobie talentu, jak trzeba się odkryć, żeby móc takie role zagrać?* Nie wiedziałam, nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jak wiele zależy tu też od reżysera, od całego zespołu – nie tylko od jednej osoby. Choć to prawda, że w przyszłości Bronek Wrocławski potrafił zagrać monodramy, gdzie pokazał, jakim jest fantastycznym aktorem w wersji solo. Był nawet bezkonkurencyjny w konfrontacji z samym autorem jego monodramów⁴, który przyjechał i w Łodzi je prezentował.

A pierwsze zetknięcie Pani z wykładowcami, profesorami? To często byli przecież znani aktorzy, reżyserzy...

Oczywiście byli to wspaniali aktorzy i reżyserzy: Jadwiga Chojnacka, Hanna Małkowska, Mirosława Marcheluk, Barabara Fijewska, Irena Wojutycka, Henryk Jóźwiak, Zdzisław Jóźwiak, Marek Józefowicz, Jerzy Waldelm, Waldemar Wilhelm, Witold Zatorski. Wśród nich była Maria Kaniewska, która wyreżyserowała już kilka filmów m.in. „Awanturę o Basię”⁵. Była opiekunem naszego roku, sprawiała wrażenie osoby niezwykle wymagającej, niedostępnej. Myśmy wszyscy byli na początku przerażeni po prostu... na baczność. A potem się okazało, że jest wspaniałym człowiekiem, ma w sobie naprawdę dużo poczucia humoru i miłości do ludzi. Ona wykształciła i wykreowała Janusza Gajosa. Można by powiedzieć, że była jego mentorem.

Przyszła Pani do szkoły jako spokojna, dobrze ułożona dziewczyna z dobrego domu. Czy było coś, co Panią na początku bulwersowało, czy może tylko zdumiewało?

Było trochę przerażenia... ale tylko trochę, zawsze zwyciężała fascynacja.

⁴ Eryk Bogosian

⁵ „Awantura o Basię”, reż. Maria Kaniewska (1959)

A gdzie spędzała Pani wolny czas?

W szkole! O ósmej rano zaczynaliśmy albo taniec, albo rytmikę, albo wf, potem były zajęcia z prozy, z wiersza, poza tym – historia filmu, historia teatru, języki niemiecki i rosyjski. A potem graliśmy sceny, następnie znowu wiersz, monodram, piosenka... a wieczorem sami pracowaliśmy, aby następnego dnia pokazać nasze propozycje scen.

No to faktycznie, całe mnóstwo wolnego czasu... No, ale tak serio – nie spotykaliście się poza szkołą?

Spotykaliśmy się, oczywiście. Przed egzaminami całe noce spędzaliśmy wspólnie pracując nad scenami lub ucząc się historii filmu i teatru.

Czyli każda wasza chwila była podporządkowana szkole!

Tak. Mnie w domu właściwie w ogóle nie było. Wpadałam tam dosłownie na chwilę...



Pierwszy rok Wydziału Aktorskiego. Od lewej: Wanda Ostrowska (Gdańsk), Hanna Molenda (Łódź), Krystyna Michel (Łódź), Zofia Kopacz-Uzelac, Wanda Grzeczowska (Łódź), 1969 rok (fot. arch. Zofii Uzelac)

To tata był na pewno zachwycony...

Hmmmm.....

A w "Honoratce" się nie spotykaliście?

No w "Honoratce" tak... oczywiście.

I jak ją Pani wspomina?

My, studenci byliśmy tam trochę onieśmieleni. Bo w tamtych czasach panowało coś w rodzaju takiej hierarchii. Każdy aktor, im starszy, tym większym cieszył się szacunkiem z naszej strony. I to jakieś takie było... naturalne. Myśmy raczej przychodzili nie tyle do „Honoratki” ile do Teatru 7.15, tuż obok. Oglądaliśmy tam przedstawienia a potem, na chwileczkę wpadaliśmy do „Honoratki”, na króciutko, bez przesiadywania tam.

Kto był rektorem Filmówki, kiedy zaczynała Pani studia?

Reżyser Jerzy Kotowski⁶. To był fantastyczny pedagog, który potrafił integrować studentów z różnych wydziałów. Jako rektor nie był sztywnym urzędnikiem. Zapraszał nas do swojego atelier, tam uczestniczyliśmy w zajęciach z animacji, mogliśmy z nim rozmawiać o różnych sprawach dotyczących nie tylko sztuki, ale nawet polityki.

W ogóle wtedy, kiedy ja studiowałam, profesorowie traktowali nas jak twórców, a myśmy mieli dla nich wielki szacunek.

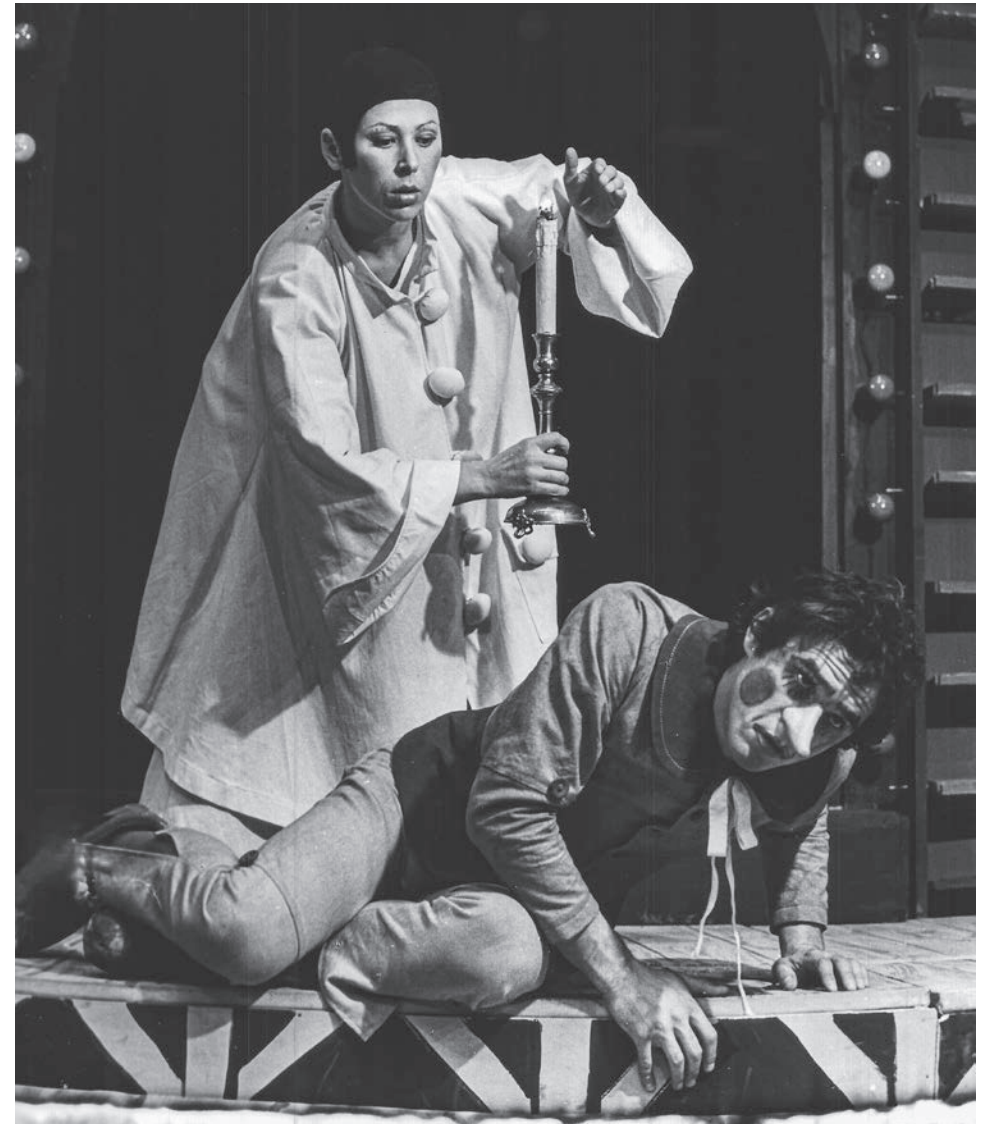
To była relacja mistrz-uczeń?

Tak, absolutnie tak. A z drugiej strony było zaufanie, partnerstwo, swego rodzaju... miłość powiedziałabym nawet.

Wśród naszych pedagogów był też Witold Zatorski⁷, który przez rok był na stażu u Petera Brooke'a i zaproponował nowe nieznane dotąd metody pracy. Było to dla nas wspaniałe doświadczenie. Po powrocie te wszystkie ćwiczenia, które sam wykonywał pod kierunkiem Petera Brooke'a,

⁶ Jerzy Kotowski – operator i reżyser filmów animowanych

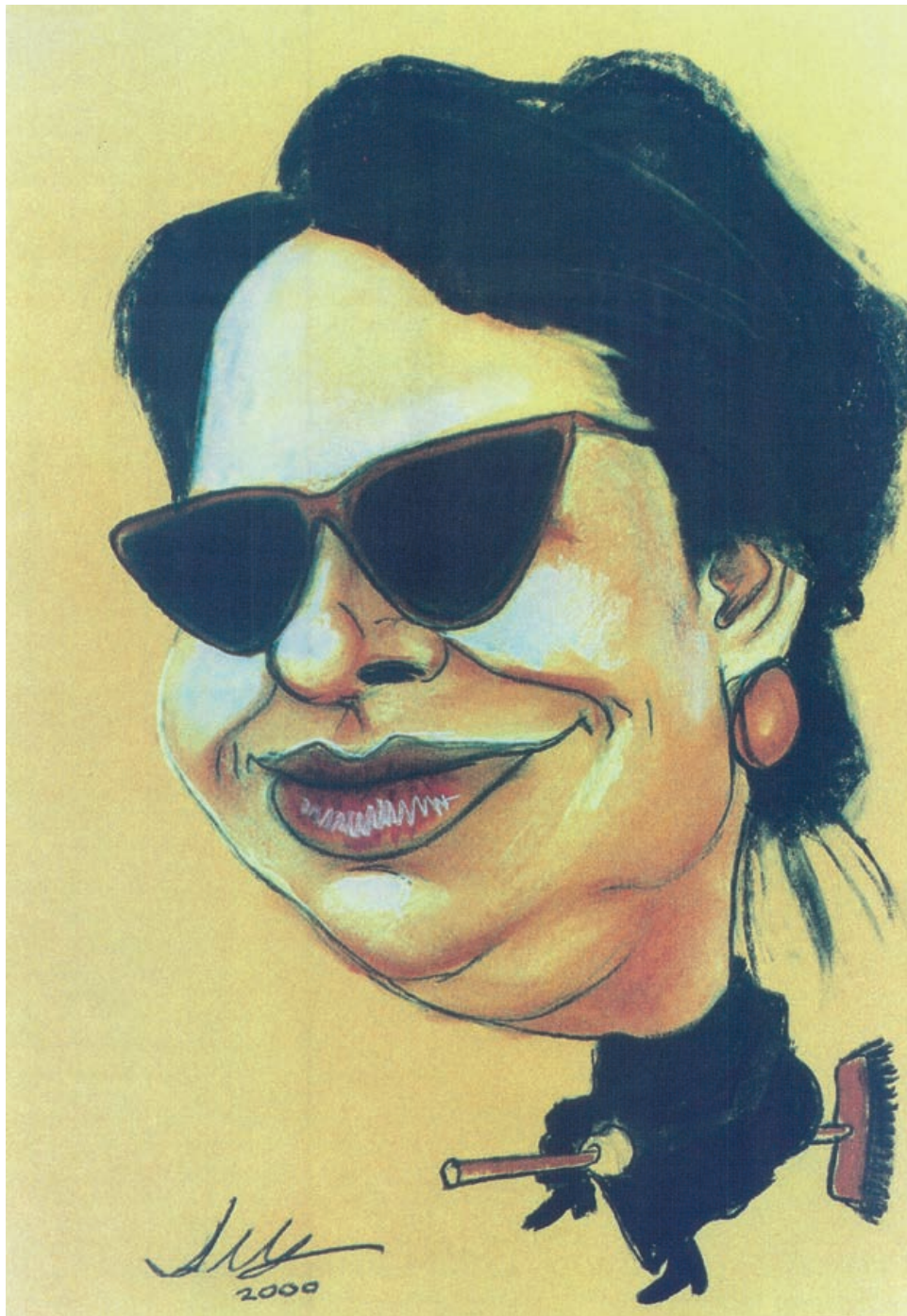
⁷ Witold Zatorski – aktor, reżyser, pedagog



Historie o sosnowym pieńku, Zofia Kopacz (Uzelac) - Arlekin, Bronisław Wrocławski - Pinokio. Teatr Powszechny w Łodzi, 1977 rok (fot. arch. Zofii Uzelac)

proponował nam. To było coś fantastycznego. Niestety, bardzo krótko, tylko rok, ponieważ wkrótce tragicznie zginął.

Byliśmy też pod wrażeniem Teatru Jerzego Grotowskiego. Chociaż oficjalnie profesor Jadwiga Chojnacka uważała, że Grotowski to hochsztapler. Ani w warszawskiej szkole, ani u nas to nazwisko nie było akceptowane. Ale myśmy się interesowali, byliśmy ciekawi, jak i dlaczego to się tak właśnie



Karykatura Zofii Uzelac z Wernisażu: „Karykatury 2000” (autor: Jacek Makiewicz)

odbywa u Grotowskiego⁸. Było wiele kontrowersji, pytań. Być może miało na to wpływ doświadczenie nadmiernego przekraczania granic. Ale na przykład Maja Komorowska się temu i nie poddała i potrafiła przenieść to doświadczenie do teatru, gdzie trafiła na wyjątkowego reżysera – Jerzego Jarockiego, a on potrafił to wykorzystać.

Wśród aktorów Grotowskiego był Zbyszek Cynkutis⁹. To on, obok profesor Ratajskiej, miał również wielki wpływ na wybór mojej drogi zawodowej. Prowadził w klubie o specyficznej nazwie „Karolek” (róg ulicy Łąkowej i Kopernika) zajęcia teatralne. I pierwsza moja próba wyglądała tak. Cynkutis powiedział: *Zobaczcie, jak się powinno mówić wiersz*. Zapalił świece postawił na podłodze, stanął na głowie i wyrecytował „Grande Valse Brillante” Tuwima. To zaparło we mnie dech... nie mogłam dojść do siebie. Pomyślałam wtedy, że to jest coś nieprawdopodobnego, jak na widza może wpływać sztuka. Niestety matura nam przerwała próby. Potem przez jakiś czas miałam z nim kontakt. A po latach zaprosiłam go do teatru Jaracza na finał prób do spektaklu „Gorzkie łyzy Petry von Kant”. Jego uwagi okazały się niezwykle inspirujące i trafne. Niestety wkrótce tragicznie zginął.

A czego jako studenci nie lubiliście?

Zajęć z języka rosyjskiego. Mieliśmy taką wiekową panią profesor... A na egzaminie, który był na trzecim roku, przebieraliśmy się i ten co umiał mówić po rosyjsku, przebierał się i zdawał egzamin za inną osobę. A pani, ponieważ, jak wspomniałam, była wiekowa, w ogóle się nie zorientowała. Zwłaszcza, że nosiła takie wielkie, grube okulary, przez które nas widziała, ale niedokładnie.

No i jeszcze: wojsko!!! O tym przedmiocie było najwięcej żartów i dowcipów. I nawet pamiętam, z czego składa się łyżka wojskowa.

Taaak???

Poprawna odpowiedź na egzaminie brzmiała: z nasady, trzonka i łyżki właściwej. Zajęcia odbywały się u nas, na Targowej; i przyjeżdżali do nas też studenci ASP i Akademii Muzycznej.

⁸ Było wiele kontrowersji wokół metod reżyserskich Jerzego Grotowskiego; dotyczyły głównie jego metod pracy z aktorami, postrzeganych jako nadmierne psychofizyczne obciążenie i miały silny wpływ na członków zespołu aktorskiego.

⁹ Zginął w wypadku samochodowym w drodze do Sobótki na II Forum Wrocławskiej Kultury

Pani studia przypadają na rok 1970. A to był czas politycznej burzy. Wypadki gdańskie, przejęcie realnej władzy przez Edwarda Gierka, odsunięcie od niej Gomułki... Czy w jakiś sposób angażowaliście się politycznie jako studenci?

Oczywiście, wszyscy się angażowali. My, jako studenci włączaliśmy się w bieg wydarzeń, wierząc w fenomen porozumienia sceny z widownią poza cenzurą i tekstem. Było to coś wyjątkowego w tamtych czasach w teatrze. Chodziło o to, żeby trzymać moralny kręgosłup i się nie poddawać. Wyrażaliśmy to emocjonalnie dobierając odpowiednie teksty w naszych programach i potem w czasie rozmów z publicznością po prostu mówiliśmy tam, co myśleliśmy.

A czytaliście tę literaturę, która była na indeksie?

Bibułę? Tak, oczywiście. Ale dla nas najważniejsze było, aby móc ze sceny przekazywać to innym.

Ale czy była na to szansa?

Ależ skąd! Oficjalnie nie, ale udawało się nam to podczas tych naszych studenckich wypraw do klubów RUCHU. Tu dało się coś przemycić. Także za pośrednictwem znanych tekstów, jak choćby „Kwiatów Polskich” Tuwima.

Jak dzisiaj: niech Prawo zawsze Prawo znaczy, a Sprawiedliwość – Sprawiedliwość.

I jeszcze:

*Każda niech Polska będzie wielka:
Synom jej ducha czy jej ciała
Daj wielkość serc, gdy będzie wielka,
I wielkość serc, gdy będzie mała¹⁰.*

Młodzi ludzie często ulegają popularnym trendom, modzie, pojawiają się snobizmy... To dotyczyło także przyszłych aktorów?

Oczywiście. Modne były amerykańskie filmy, które mogliśmy oglądać w naszej szkole, amerykańscy aktorzy, znani reżyserzy. Niektórzy z ekscytacją

¹⁰ „Modlitwa” Julian Tuwim (fragment)

opowiadali na przykład o tym, że Andrzej Wajda podczas wykładów pali cygaro, które miało niewyobrażalną cenę. To było zapatrzenie na Zachód, na to, że tam za żelazną kurtyną jest dobrobyt i wszystko inaczej wygląda.

Ale za to nasz duch był wtedy tak bogaty!

Dzisiaj to Pani Profesor kształtuje młode pokolenia aktorów. Czym dzisiejsi studenci wydziału aktorskiego różnią się od Was?

To jest już inne pokolenie, wychowane w innych warunkach, korzystające z internetu. Brakuje mi trochę czegoś takiego, jak szacunek dla wartości i wiara w teatr. Dzisiaj studenci ukierunkowani są bardziej na robienie kariery. Także kariery medialno-internetowej. Chcą szybko stać się gwiazdami, gwiazdoram filmu, telewizji, seriali... Co nie zmienia faktu, że z bardzo wielu z nich jestem bardzo dumna. Grają w teatrach, filmach, piszą scenariusze, książki, reżyserują. Nasi absolwenci bardzo się lubią, spotykają ze sobą, czasem zapraszają nas, pedagogów na spotkania.

Czyli, między nami, studentami tamtych lat a studentami dzisiejszymi są różnice wynikające ze zmiany czasów, ale cały czas łączy nas wspólny mianownik – zaufanie do siebie, wiara w zespół, która pomaga góry przenosić.



Zofia Uzelac przed Mediateką MeMo przy ul. Moniuszki w Łodzi (fot. Patryk Waclawiak)

A photograph of a grand, ornate interior space, likely a conservatory or orangerie. The room features a high, vaulted ceiling with a large, arched glass skylight decorated with intricate ironwork. The walls are light-colored with elaborate gold-colored moldings and a large, ornate wall fountain on the right. The floor is covered in a red and white checkered tile pattern. Several wicker armchairs and small round tables are arranged throughout the room, and numerous potted plants, including palm trees and monstera, are placed around the space. Large, ornate chandeliers hang from the ceiling.

AKADEMIA MUZYCZNA W ŁODZI

Oranżeria Pałacu Karola Poznańskiego – obecnie odrestaurowane
wnętrze Akademii Muzycznej w Łodzi FOT. PATRYK WACŁAWIAK



FOT. PATRYK WACŁAWIAK

O AKADEMII MUZYCZNEJ W ŁÓDZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI



FOT. PATRYK WACŁAWIAK

Na samym początku drogi

Tradycje szkolnictwa muzycznego w Łodzi sięgają XIX wieku. Wówczas lekcje gry na instrumentach oraz śpiewu odbywały się w formie zajęć prywatnych. Pionierami nauczania muzyki byli między innymi pianiści Wanda Pawłowska i Adolf Prechner. I byli to świetni pedagodzy, skoro to właśnie oni formowali talent młodego Artura Rubinsteina.

Natomiast założycielką pierwszej w Łodzi szkoły muzycznej, działającej w latach 90. XIX wieku była śpiewaczka Julia Elszewicz.

Jednakże uczelnia wyższa, o statusie akademickim powstała po II wojnie światowej, w 1945 r., jako Państwowe Konserwatorium Muzyczne. Mimo że nazwa ta obowiązywała tylko rok, do dzisiaj wielu Łódzian nazywa Akademię Muzyczną właśnie mianem *konserwatorium*. W 1946 r. przyjęto nazwę – Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna.

Nazwa Akademia Muzyczna pochodzi już czasów znacznie późniejszych, bowiem zaczęła obowiązywać od 1982 r. A od 1999 r. nosi imię rodzeństwa – Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów (skrzypaczki i pianisty).

Pierwsze zajęcia odbyły się 24 marca 1945 r., a dzień ten został ustanowiony Świętem Uczelni.

W początkowym okresie istniały cztery wydziały: Teorii, Kompozycji i Dyrygentury; Instrumentalny; Wokalny oraz Pedagogiczny.

Wśród wykładowców znaleźli się wybitni muzycy, tacy jak pianista i kameralista Kiejstut Bacewicz i jego siostra – skrzypaczka Grażyna. I to oni stali się ostatecznie patronami uczelni.

Budynek powstał jako rezydencja syna jednego z najbogatszych łódzkich fabrykantów – Izraela Poznańskiego, ma też historię filmową. To tu Andrzej Wajda nakręcił jedną z najsłynniejszych scen kina polskiego.



Pałac Karola Poznańskiego (późniejsza siedziba akademii muzycznej) w 1910 r.
(źródło: baedeker łódzki)

Siedziba uczelni, od momentu jej powstania w 1945 r., to jeden z najsłynniejszych i zarazem najpiękniejszych budynków w mieście – pałac Karola Poznańskiego przy ulicy Gdańskiej 32.

Budynek powstał jako rezydencja syna jednego z najbogatszych łódzkich fabrykantów – Izraela Poznańskiego, ma też historię filmową. To tu Andrzej Wajda nakręcił jedną z najsłynniejszych scen kina polskiego. W „Ziemi obiecanej” Karol Borowiecki (grany przez Daniela Olbrychskiego) skutecznie otrzeźwia Moryca Welta (Wojciech Pszoniak), który świetnie bawił się w pałacowym ogrodzie.

W październiku 2013 r. oddano do użytku nowy budynek Sali Koncertowej Akademii Muzycznej przy ulicy Żubardzkiej 2A. To miejsce ze znakomitą akustyką, wysokiej klasy systemem do nagłaśniania i nagrywania dźwięku, profesjonalnym studiem nagrań i zapleczem dydaktycznym.

Wśród absolwentów Akademii Muzycznej są wybitni kompozytorzy, soliści, instrumentalisci. Joanna Woś, chluba uczelni i duma naszego miasta, nieoceniony sopran koloraturowy powiedziała kiedyś w rozmowie z naszą redakcją, że *Akademia Muzyczna to jedyna taka cudowna szkoła na świecie*. Miała na myśli zarówno kadrę dydaktyczną, jak i piękno pałacowego otoczenia.

Kiedyś studenci ćwiczyli... w łazienkach

To nie żart. W latach 50. i 60. brakowało sal do ćwiczeń, więc studenci potrafili zamykać się w łazienkach, bo „tam był najlepszy pogłos”.

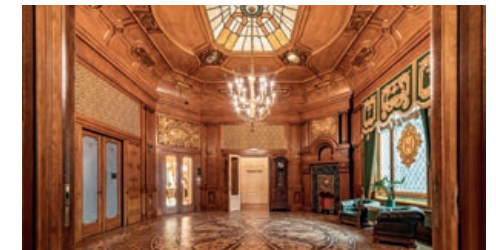
Plotka głosi, że jeden z profesorów skrzypiec powiedział: *Znam studentów, którzy zrobili większe postępy w kabinie WC niż w sali 204*.

Wysokie C

Wśród krążących anegdot znajdujemy także tę, jak podczas egzaminu z emisji głosu student tak głośno „wyciągnął” górne C, że w sekretariacie spadł wazon.

Odrobina statystyki

Wydziały	4
Instytuty	9
Profesorowie	78
Nauczyciele akademicki	304
Studenci	265



Zakłęte w czasie wnętrza Akademii Muzycznej
(fot. Patryk Waclawiak)



Grono profesorskie Akademii Muzycznej w Łodzi - lata 50. XX w. (źródło: baedeker łódzki)



Wnętrze Akademii Muzycznej, dawniej Pałacu Karola Poznańskiego (fot. Patryk Wacławiak)



Wnętrze Akademii Muzycznej, dawniej Pałacu Karola Poznańskiego (fot. Patryk Wacławiak)

ŚPIEWAJĄCO

Wywiad z Jerzym Wolniakiem

ABSOLWENTEM AKADEMII MUZYCZNEJ Z 1979 ROKU, ŚPIEWAKIEM,
PROFESOREM SZTUKI, NAUCZYCIELEM AKADEMICKIM

Rozmawia – Ryszard Bonisławski



Jest rodowitym Łodzianinem, silnie związanym z tym miastem i Teatrem Wielkim. Dyplom magistra sztuki uzyskał w 1977 r. W czasie studiów, z wielkim powodzeniem wystąpił w trzech spektaklach studenckich. Zaowocowało to propozycjami kontraktów w teatrach Warszawy i Łodzi. Po ukończeniu studiów uczestniczył w kursach wokalnych we Włoszech pod kierunkiem maestro Giorgio Favaretto, jako laureat konkursu wokalnego w Busseto został uczniem światowej sławy śpiewaka – Carlo Bergonziego. Miał również zajęcia z największym światowym specjalistą od spraw dykcji Gino Bechi.

Ryszard Bonisławski: Jurku poznałem Cię w końcu lat 60. XX w. w salezjańskim kościele p.w. św. Teresy, byłeś bigbitowym wokalistą grającym na organach elektrycznych. Wasza muzyka w każdą niedzielę wypełniała świątynię niesamowitym brzmieniem. Minęło kilka lat i stanąłeś na deskach Teatru Wielkiego, najważniejszej wtedy sceny operowej w kraju. Co miało wpływ na taki wybór drogi życiowej?

Jerzy Wolniak: To długa historia, ale opowiem ją w skrócie. Muszę zacząć od wczesnego dzieciństwa, bo już wtedy wyśpiewywałem zasłyszane w radiu przeboje, czasami popisywałem się śpiewem na imprezach rodzinnych. Na jednej z nich moja ciotka Józefa Hesse, matka Barbary Hesse-Bukowskiej¹ wyraziła się z uznaniem o moim talencie wokalnym. Postanowiono jednak prowadzić mnie do ogniska muzycznego w pałacu Scheiblera na Wodnym Rynku (dziś Muzeum Kinematografii) na naukę gry na... akordeonie. Jedna z nauczycielek poradziła rodzicom zakup pianina. Radzić łatwo, ale mieszkaliśmy wtedy w bardzo skromnych warunkach i o wstawieniu jakiegoś dużego



Debiut muzyczny
Jerzego Wolniaka
(fot. arch. J. Wolniaka)

PWSM mieściła się w tym samym miejscu co dzisiaj, w zabytkowym pałacu Karola Poznańskiego. Początkowo jej wnętrza onieśmiały, a z czasem traktowaliśmy je jako swoistą scenografię.

¹ Sławną polską pianistka, laureatka IV Konkursu Chopinowskiego, która mieszkała przy ul. Piotrkowskiej 20

instrumentu nie było mowy. Zostałem akordeonistą. Pokochałem ten instrument, dzięki niemu stałem się „sławny” w szkole, występowałem na wszystkich akademiach i popisach. W szkole średniej – a chodziłem do „Kopra”, czyli I LO im. M. Kopernika – działał kabaret „Kiełbie we łbie” prowadzony przez lubianego profesora Janusza Boisse „Bładego”. Trafiłem do zespołu. Grałem i śpiewałem w gronie tak znanych osób, jak Krystyna Jaźwińska (po latach solistka operowa), Piotr Krukowski (późniejszy znany aktor Teatru Jaracza), Hanna Mikuć (aktorka), Hania Matyskiewicz (solistka Teatru Muzycznego), Marek Niemirowski (aktor) i wielu innych. W tym kabarecie występował też mój kolega Andrzej Matysiński – gitarzysta, z nim i innymi muzykami w 1967 r. zawiązaliśmy zespół mocnego uderzenia. Początkowo graliśmy w świetlicy zakładów „Polfa” przy ul. Drewnowskiej, a potem w Domu Kultury spółdzielni mieszkaniowej „Lokator” przy ul. Nowopolskiej. Na nasze wieczorki muzyczne przychodziły tłumy młodzieży, któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że w niedaleko położonym kościele p.w. św. Teresy mają dobry sprzęt muzyczny. Po krótkiej rozmowie z księdzem Janem Gniedziejko, zaczęliśmy grać na mszy muzykę kościelną w wydaniu bigbitowym. Nazwaliśmy się „Grupą R”, początkowo miał być zespół Rankallowie (od nazwiska Papieża Jana XXIII). Z tamtego okresu wspominać z nostalgią udział w Festiwalu Muzyki Kościelnej Sacrosong w 1969 r. Grałem na organach Matador, odkupionych od Kazia Kowalskiego (występował w grupie bigbitowej Dziwne Rzeczy). O naszych umiejętnościach muzycznych może świadczyć III miejsce zdobyte na Przeglądzie Zespołów Amatorskich w Jeleniej Górze.

Miało być krótko...

Już się skracam (śmiech). Po maturze planowałem zdawać na prawo, przystąpiłem do egzaminu, ale się nie dostałem na Uniwersytet Łódzki. Pracowałem w zakładach dziewiarskich „Marko”. Artystyczne życie pociągało mnie jednak bardziej. Dowiedziałem się, że w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej można studiować na kierunku wokalnno-aktorskim, za namową Włodka Zalewskiego postanowiłem zaryzykować. Przygotowywałem się do egzaminów przez kilka miesięcy. Śpiewałem jak typowy bigbitowiec, przed egzaminem zgłosiłem się do profesora Walentego Parczewskiego na próbne przesłuchanie przed egzaminem.

Przystąpiłem do egzaminów z pewnym lękiem, kandydatów było wielu, większość ukończyła średnie szkoły muzyczne w klasie śpiewu, a ja lekcje w ognisku muzycznym i śpiewanie w zespole bigbitowym. Postawiłem wszystko na jedną kartę, przeszedłem kolejne etapy zwycięsko. W 1971 r. zostałem studentem „elitarnego” kierunku wokalnno-aktorskiego.



"Grupa R" przed koncertem kolęd (fot. arch. J. Wolniaka)



Zdjęcie z indeksu (fot. arch. J. Wolniaka)

Jak wyglądało życie kulturalne Łodzi w tych latach?

Było ono bardzo bogate, działały w naszym mieście doskonałe teatry dramatyczne – Nowy i Jaracza oraz Teatr Muzyczny i Teatr Wielki. Zjeżdżały do nich wycieczki z całego kraju, repertuar był przemyślany i różnorodny, a soliści z najwyższej półki. Obok dzieł klasycznych prezentowano twórczość współczesnych autorów polskich, nie zapomniano o młodszej widowni, przygotowano dla niej kilka poważnych spektakli o baśniowej i przygodowej fabule. Łódź była także stolicą polskiego filmu – kręcono filmy fabularne, oświatowe, animowane, wytwarzano kopie filmowe i podkładano głosy w zagranicznych produkcjach. Ważną rolę odgrywała najsławniejsza polska szkoła artystyczna „Filmówka”. Jej absolwenci stawali przed kamerami (aktorzy) i za kamerami (operatorzy). Była też kuźnią reżyserskich talentów. Nie sądziłem wtedy, że po latach zostanę jednym z jej wykładowców, a nawet dziekanem. Nic dziwnego, że Łódzka Telewizja słynęła z audycji kulturalnych na najwyższym poziomie. Artyści spotykali się w kultowych miejscach – w „Honoratce”, w „Spatifie”, w „Siódemkach”. Przy każdym dużym zakładzie dobrze funkcjonowały domy kultury z bogatą ofertą zajęć. Nic dziwnego, że powstało w Łodzi kilkadziesiąt zespołów muzycznych, niektóre zdobyły sławę i na trwałe zapisały się w kronikach życia kulturalnego Polski. Wystarczy przypomnieć Trubadurów, No To Co, Pro Contra, Cykady i innych.

Gdzie mieściła się wasza uczelnia, kto był wtedy jej rektorem?

PWSM (dzisiejsza Akademia Muzyczna) mieściła się w tym samym miejscu co dzisiaj, na rogu ulic Gdańskiej i 1 Maja, w zabytkowym pałacu Karola

Poznańskiego. Początkowo jej wnętrza przeładowane dekoracjami onieśmielały, a z czasem traktowaliśmy je jako swoistą scenografię, towarzyszącą naszym zajęciom. Rektorem szkoły był profesor Zenon Płoszaj, wybitny skrzypek, który w latach naszego studiowania kierował Katedrą Instrumentów Skrzypcowych. Dziekanem naszego kierunku była sławna śpiewaczka operowa Olga Olgina, która mówiła ze wschodnim akcentem, urodziła się na terenie Rosji, studiowała w Petersburgu i w Wilnie. Koncertowała przed wojną w Warszawie i w Poznaniu, występowała na scenach Europy. Po 1945 r., jak wielu polskich artystów, przyjechała z Wilna do Łodzi i poświęciła się pedagogice.

Może warto przypomnieć jej najsławniejsze uczennice?

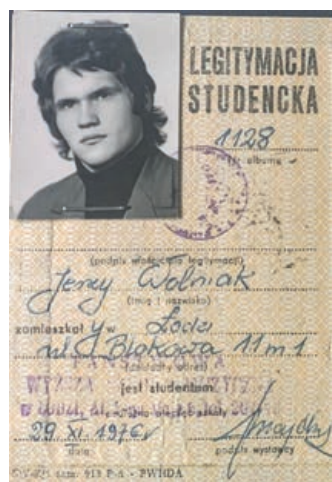
Przede wszystkim były to: Teresa Wojtaszek-Kubiak (występowała na wszystkich znanych scenach operowych świata oraz oczywiście w łódzkim Teatrze Wielkim) i pochodząca z Wilna Teresa Żylis-Gara (także występowała na wielu sławnych scenach świata), Teresa Maj-Czyżowska (sopran, primadonna Teatru Wielkiego w Łodzi) i Elżbieta Ptak (primadonna Teatru Muzycznego w Łodzi).

A panowie mieliście zajęcia z profesorem Rajmundem Ambroziakiem?

Tak. Był naszym mistrzem, a mnie uwielbiał. Ku jego zaskoczeniu śpiewałem trudne arie z Cyganerii i Rigoletta, byłem wtedy na etapie ciągłego słuchania płyt



Indeks Jerzego Wolniaka z pierwszego roku studiów (fot. arch. J. Wolniaka)



Legitymacja studencka Jerzego Wolniaka (fot. arch. J. Wolniaka)

z nagranyymi operami; to była najlepsza metoda opanowania głosu i wydobywania jego walorów. Profesor traktował nas po ojcowsku, a kiedy wyjeżdżaliśmy na zagraniczne konkursy śpiewacze stawał się naszym najlepszym kolegą, dbał o wszystko, chciał byśmy mieli dobre samopoczucie, bo to było gwarancją sukcesów.

Mieliście na studiach czas na rozrywkę?

Oczywiście, łącząc śpiewactwo z aktorstwem uczestniczyliśmy w różnych imprezach i wydarzeniach towarzyskich. Założyliśmy nawet na uczelni kabaret „Trep”. Występowaliśmy w naszym gmachu, a także w różnych klubach. Braliśmy udział w przeglądzie piosenek turystycznych Yapa. Zaprezentowana przez nas prześmiewcza piosenka o socjalistycznej pracy rozbawiła publiczność i była cytowana w Radiu Wolna Europa. Polityczne wtręty rozbawiały, ale były tak podane, że cenzura niczego nie wykreślała. Nagraliśmy audycję w Radiu Łódź, staliśmy się tak sławni, że na naszych koncertach w Akademii brakowało miejsc. Występowaliśmy nawet na scenie Teatru Muzycznego. Mieliśmy wydrukowane programy, w jednym z nich „O rura” nawiązywaliśmy do rurociągu przyjaźni. Oczywiście w tak zakamuflowany sposób, żeby nie ściągnąć gromów na uczelnię.

Pamiętasz skład „Trepa”?

Poza mną występowali: Jaga Paduch, Antek Kłopotcki, Włodek Zalewski, Janek Czapliński i Wiesiek Łągiewka, a raz nawet Elka Adamiak. Kabaret był moją drugą naturą.

Mając takie zdolności aktorskie powinieś może przenieść się do szkoły filmowej...?

Nawet mnie do tego namawiali Piotr Krukowski i Maciek Korwin, ale nie sądziłem, że mam szanse. Pochwały profesora Ambroziaka uaktywniły we mnie chęć zostania solistą tenorem i temu się poświęciłem. Zajęcia aktorskie mieliśmy w naszej Akademii, była to nowatorska metoda uczenia przyszłych śpiewaków, żeby nie stali drętwo na muzycznej scenie. Uczyli nas Bogdan Wróblewski – aktor z Teatru Jaracza i prof. Bojutycka – uczyła dykcji. Bardzo te zajęcia polubiłem i otrzymałem po zaprezentowaniu fragmentów klasycznych sztuk najwyższą ocenę. Otrzymałem nawet propozycję grania w warszawskim teatrze „Kwadrat” u Edwarda Dziwońskiego.



Fragmenty broszury z programem kabaretu „Trep” (fot. arch. J. Wolniaka)

Czy było miejsce w waszym śpiewaniu na repertuar lekki?

Ależ tak, nikt niczego nie ograniczał, śpiewałem nawet piosenki jazzowe. Kolegowaliśmy się ze studentami „Filmówki” i uczelni plastycznej, urządzaliśmy wspólne koncerty przy świecach. Deklamacje, śpiew, interesująca oprawa plastyczna i dobra muzyka, czy potrzeba czegoś więcej? Organizowaliśmy niezapomniane fuksówki.

Gdzie się najczęściej bawiliście poza uczelnią?

Bywaliśmy, tak jak większość studentów w „Siódemkach” przy ul. Piotrkowskiej 77, ale najchętniej spędzaliśmy czas w klubie „Futurysta” na al. Politechniki. Muzyka i występy na żywo były magnesem. Klub założono w 1957 r. i działał jeszcze niedawno (zamknięty w 2023 r.). Grał w tym klubie Włodek Zalewski (zespół Ab Ovo). Bywaliśmy także na Lumumbowie (osiedle akademickie UŁ) w klubie „Balbina”.

Wspomniałeś Włodka Zalewskiego, może przypomnij niektórych kolegów z czasów studenckich.

Przed wszystkim chcę przywołać mojego przyjaciela Janka Targowskiego. Zapewne nie wszyscy wiedzą, że studiował w klasie śpiewu, ale po pierwszym roku powiedział mi, że rezygnuje, bo basów jest wielu i nie robi przy nich

kariery. Ukończył studia, został znanym krytykiem muzycznym, zawodowo związał się z Radiem Łódź, prowadził konferansjerkę podczas różnych koncertów m.in. w Łódzkiej Filharmonii. Spotykaliśmy się w jego domu, by posłuchać płyt z muzyką latynoamerykańską. Kolegą z roku był także Kazik Kowalski; on podobnie jak ja wyrósł w zespole bigbitowym „Dziwne” Rzeczy. Zdobył ogromną popularność jako śpiewak operowy. Wybitnym śpiewakiem został mój przyjaciel Piotr Bednarski, który od wielu lat rozwija swoją karierę w Niemczech. Podobną karierę zrobiła w berlińskiej operze Ala Borkowska, a z grona najbliższych koleżanek dobrze wspominam Teresę Molawę – śpiewała w operetce łódzkiej i warszawskiej, jest cenionym pedagogiem i Danusią Bernolak – siostrą znanych muzyków rockowych Wiesława i Zbigniewa, wybitną sopranistkę, która po sukcesach na polskich i europejskich scenach operowych osiadła w Kolonii.

Czy uczelnia czymś Cię zaskoczyła?

Mieliśmy zajęcia od rana do wieczora, panowały stosunki niemal rodzinne, w przerwach biegaliśmy do kawiarenki, miejsca w niej były umownie podzielone, po lewej stronie był stół pedagogów, pod oknem siedzieli palacze, pani Kryśka miała pochowane piwo w bufecie, ja często zabierałem do kawiarni akordeon, grałem na nim, a Łągiewka zbierał do czapki pieniądze, za które kupowaliśmy to piwo. W kawiarni można było spotkać wszystkich gości bywających na uczelni. W tym czasie na terenie Akademii była też średnia szkoła muzyczna, wszyscy się integrowaliśmy, a wpływ studentów na młodzież szkolną był oczywisty. Zaskoczyła mnie nauka ruchu scenicznego. Włodzimierz Traczewski (kierownik baletu Teatru Wielkiego w Łodzi) pokazywał nieopierzonym studentom, jak nosi się frak, a jak tużurek, w jaki sposób zakładamy cylinder, a w jaki kapelusz itp. Przydała się ta wiedza w latach gry w operetkach, tam trzeba śpiewać, tańczyć, mówić z właściwą dykcją i wczuwać się w rolę osób żyjących przed wiekiem. Nauka ruchu scenicznego ułatwiała pracę w późniejszych latach, czuliśmy się na scenie spokojniej, skupieni na odgrywanej roli.

Czy nazwiska znanych profesorów wpływały na wasz stosunek do uczelni?

To jest oczywiste, przebywając w ich towarzystwie czuliśmy się wyróżnieni, to były indywidualności, wielu z nich miało ogromny dorobek artystyczny, taki jak Olga Olgina, Grzegorz Orłow – skrzypek i śpiewak operowy, Franciszek Wesołowski – organista, kompozytor, prorektor naszej uczelni, kierował



Jerzy Wolniak na fuksówce Akademii Muzycznej
(fot. arch. J. Wolniaka)



„Sprzedana narzeczona” - debiut na scenie
Teatru Wielkiego (fot. arch. J. Wolniaka)

Katedrę Teorii Muzyki i Kompozycji, Zbigniew Lasocki – wybitny pianista i pedagog, Tadeusz Chmielewski – pianista, asystent Wandy Wiłkomirskiej, Roman Iżykowski – skrzypek i pedagog, niezwykle facecjonista, Jerzy Kobza – Orłowski – wybitny śpiewak, solista Teatru Wielkiego w Łodzi, mój mistrz, Tadeusz Kopacki – także solista Teatru Wielkiego, wybitny tenor, także był moim mistrzem, a kontakty towarzyskie utrzymujemy do dziś, Antoni Majak – bas, to kolejny wielki solista naszej opery i nasz nauczyciel, Karol Mroszczyk – skrzypek, dyrygent, Zdzisław Szostak – kompozytor, dyrygent naszej orkiestry symfonicznej i wielu, wielu innych trwale wpisanych w naszą pamięć.

Czy wszystkie zajęcia traktowaliście z równą powagą?

No nie, nudziliśmy się na zajęciach z harmonii u prof. Cieślaka, ja często opuszczałem lekcje fortepianu u prof. Bardiejewskiej... oczywiście, wpadałem pod koniec semestru na zaliczenie, raz pani profesor powiedziała – *Jureczku, ja przez ciebie mam już kilka swetrów*. Widząc moje zdziwione spojrzenie dodała – *Bo jak ciebie nie ma, to siedzę i czekam robiąc na drutach. Ty na koniec przychodzisz i mi pięknie grasz*.

Przy niektórych pedagogach mówiłeś – to był mój mistrz. Na czym polega relacja mistrz-uczeń?

Dla mnie pierwszym mistrzem był Jerzy Kobza-Orłowski, uczył się u Ady Sari i Eugeniusza Mossakowskiego, był wyjątkowym pedagogiem, starał się przekazać studentowi wszystkie tajniki dobrego śpiewu. Moim drugim, równie ważnym mistrzem był Tadeusz Kopacki, wybitny tenor, solista naszej opery uczeń Grzegorza Orłowa. Od każdego można się czegoś nauczyć, to są w naszej

pracy czasem niezauważalne niuanse. Chodziłem niemal na wszystkie spektakle z moim mistrzem w roli głównej, wczuwałem się w jego rolę, słuchałem, śpiewałem bezgłośnie, podchwytywałem sposoby oddechu itp. Później jeden telefon profesora do warszawskiej operetki zmienił całe moje życie. Zyskałem dobrze płatną posadę, była to prawdziwa trampolina do dalszej kariery.

Kiedy miałeś okazję zadebiutować na operowej scenie?

Debiutowałem jeszcze w trakcie studiów w 1974 r. na deskach Teatru Wielkiego w spektaklu „Sprzedana narzeczona” Bedrzicha Smetany. To typowa opera buffo, występowałem w roli Waszka (syn Hanki i Michy). Okazało się, że mam talent komediowy. Na przedstawieniu była moja mama z ciotką Józją Hesse. Kiedy opadła kurtyna ciocia powiedziała – *Już mogę spokojnie umierać, moja Basia jest wspaniałą pianistką, a Jureczek będzie wspaniałym tenorem*.

Brałem także udział wielokrotnie w przedstawieniach studenckich na scenie Łódzkiego Teatru Muzycznego, była to świetna inicjatywa władz naszej uczelni, dzięki której mieliśmy możliwość „poczuć scenę”, występować przed prawdziwą publicznością, bez taryfy ulgowej. To nie była studencka zabawa w teatr. Zdobyte wtedy doświadczenia służyły nam przez lata. Operetka, jak wcześniej powiedziałem, wymaga od aktora różnych umiejętności, czułem się w niej doskonale. W 1975 r. w kwietniu grałem w „Mikado” A. Sullivana, a w 1977 r. w „Nitouche” R. Herve, choreografię do obu spektakli przygotował Włodzimierz Traczewski.

Zaczynało się dorosłe życie, z żalem żegnałem moją uczelnię, mogę dziś powiedzieć, że studiowałem śpiewająco.



Nitouche - ta rola w operetce zaowocowała
propozycją współpracy (fot. arch. J. Wolniaka)



Jerzy Wolniak z żoną na scenie -
operetka „Mikado” (fot. arch. J. Wolniaka)



Akademia Sztuk Pięknych
im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi

AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W ŁODZI



Wnętrza ASP, FOT. Patryk Waclawiak

O ASP W ŁODZI – INFORMACJE, CIEKAWOSTKI I ODROBINA STATYSTYKI



Przed wejściem do ASP FOT. Patryk Waclawiak

Na samym początku drogi

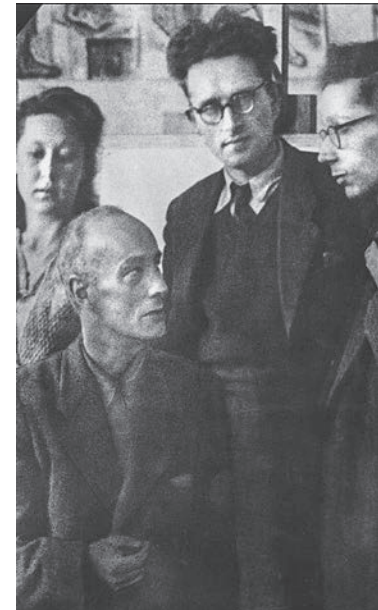
Jeśli ktoś myśli, że Łódź będąc miastem fabryk i przemysłu, nie zasługuje na miano stolicy sztuki awangardy i bohemy, jest w wielkim błędzie. Koniec XIX wieku, a zwłaszcza 20-lecie międzywojenne to czasy rozwoju wielu talentów – literackich, muzycznych, plastycznych. Artyści przed wojną przesiadywali m.in. w Café Astoria przy ulicy Piotrkowskiej 27. Spotykali się tu głównie poeci, malarze, pianiści, dziennikarze pochodzenia żydowskiego. Historia lokalu skończyła się tragicznie tuż po wkroczeniu hitlerowców do miasta. Ale to opowieść na zupełnie inny czas.

Wyższa szkoła o profilu plastycznym powstała dopiero w 1945 roku i nosiła nazwę Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Wielki wpływ na kształt uczelni miał Władysław Strzemiński, wykładowca tam w latach 1945–1950, co upamiętniono nadając szkole jego imię w 1988 r. To dzięki Strzemińskiemu od początku było jasne, że łódzka ASP nie będzie „szkołą ładnego rysowania kwiatków wazonie”.

Łódź w każdym aspekcie pozostawała włókienniczą potęgą, także artystycznie. W latach 50. na uczelni narodziło się polskie środowisko projektowania mody i tkaniny unikatowej.

Łódź to także miasto filmu i filmowego eksperymentu. Zatem... ASP w Łodzi jest miejscem narodzin sztuki wideo, przede wszystkim dzięki Józefowi Robakowskiemu, wybitnemu artyście, który dowiódł, że wideo może pretendować do sztuki najwyższych lotów.

Uczelnia mieszcząca się w międzywojennym budynku przy ul. Narutowicza 77, w 1976 roku otrzymała nową siedzibę, wzniesioną według projektu Bolesława Kardaszewskiego. Monumentalny gmach mieszczący



Władysław Strzemiński ze swoimi studentami (fot. domena publiczna)

Międzynarodowo robi się w trakcie Łódź Young Fashion – jednego z najważniejszych wydarzeń branży mody w Polsce

się na niewielkim wzniesieniu między ulicami Wojska Polskiego, Pankiewicza i Palki, stanowi ważny element łódzkiego krajobrazu. Jest to ciągle jedyny w Polsce przykład kompleksu zrealizowanego na potrzeby współczesnej, wielowydziałowej uczelni artystycznej. W 1996 roku szkoła otrzymała status Akademii Sztuk Pięknych.

Rzeźbiarze a windy

W ASP powstają prace malarskie, projekty graficzne, projekty tkanin i ubiorów oraz... rzeźby. Od małych gabarytowo po ogromne, ciężkie i monumentalne. Studenci zawsze mieli problemy z ich transportem. Wieść głosi, że jeden z nich próbował wnieść gipsowego centaury do windy. Szczęśliwie, szkoła ma szerokie schody.

Przeglądy roczne studenckich osiągnięć

Co roku w ASP odbywają się wydarzenia o charakterze otwartym. Organizowane są wystawy dyplomowe oraz pokazy prac studenckich. W jednym miejscu spotykają się geometryczne rzeźby, gigantyczne tkaniny, obrazy jak z ekspresyjnego snu i modelki w ekstrawaganckich projektach. Międzynarodowo robi się w trakcie Łódź Young Fashion – jednego z najważniejszych wydarzeń branży mody w Polsce, które na stałe wpisało się w kalendarz artystyczny Łodzi.

Odrobina statystyki

Wydziały	7
Kierunki studiów	13
Profesorowie	29
Nauczyciele akademicki	217
Studenci	ok. 800



Wystawa w Centrum Promocji Mody ASP
(fot. Patryk Wacławiak)



Zajęcia z modelką na ASP (fot. arch. ASP)



Pracownia rzeźby (fot. arch. ASP)

W LABIRYNCIE WSPOMNIENI I TWÓRCZEJ WYOBRAŹNI

Wywiad z Magdaleną Moskwą

ABSOLWENTKĄ AKADEMII SZTUK PLASTYCZNYCH Z 1996 ROKU,
MALARKĄ, FOTOGRAFKĄ, RZEŹBIARKĄ

Rozmawia – Arkadiusz Grzegorzczak



Magdalena Moskwa, FOT. ARCHIWUM ARTYSTKI

Od ukończenia studiów w łódzkiej PWSSP nieprzerwanie prowadzi indywidualną praktykę twórczą w Łodzi w dziedzinach: malarstwo, rzeźba, ubiór, haft, fotografia.

W latach 1996-2025 wzięła udział w ponad 100 wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. W 2020 r. za dorobek twórczy w dziedzinie malarstwa otrzymała Nagrodę im. Jana Cybisa.

Prace uznanej artystki znajdują się w zbiorach: Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowego w Warszawie, Zachęty Narodowej Galerii Sztuki w Warszawie, Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

Arkadiusz Grzegorzczak: Pamiętam z lat 70. i 80., że łatwo było rozpoznać na ulicy czy w tramwaju studentki ówczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, bo wyróżniały je z tłumu oryginalne kreacje. Były jak barwne motyle w szarym tłumie, dodatkowo machając wielkimi teczkami na prace plastyczne. Czy Pani studia, w dość trudnych pod wieloma względami czasach przełomu, też były kolorowe?

Magda Moskwa: Zaczęłam studiować na początku trudnych lat 90., które zdecydowanie nie były kolorowe. Z motyli najbardziej przypominałam ćmę. Prawie przez całe studia towarzyszył mi bury, męski płaszcz. Znoszonego płaszcza nie potrafiłam wyrzucić i zrobiłam z niego obiekt. Były to czasy, w których o dostępnych dzisiaj artykułach mogliśmy tylko pomarzyć, więc pierwszą teczkę zrobiłam własnoręcznie z grubej

Studenci spotykali się w klubach Dada, La Strada, w pobliskiej restauracji „Stylowa”, zwanej przez nas „stylonową” i oczywiście w klubie szkolnym na ostatnim piętrze, gdzie można było zjeść kanapkę i posiedzieć przy stoliku.

tektury i razem z zawartością była bardzo ciężka. Wyprawa do szkoły z tym obciążeniem nie przypominała lotu motyla. Jeśli chodzi o ubiór, to oprócz własnej inwencji, wsparciem były lumpeksy, które właśnie zaczęły się licznie pojawiać. Można było w nich znaleźć ciekawe ubrania i tkaniny, np. bardzo dobrej jakości prześcieradła bawełniane, które wykorzystywałam pod zadruk.

Jak z dzisiejszej perspektywy uznanej i cenionej artystki wspomina i ocenia Pani tamten czas spędzony w murach reprezentacyjnego w Łodzi gmachu, wówczas jeszcze Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych?

Jeśli chodzi o sam gmach to utkwiły mi w pamięci labirynty korytarzy, w których lubiłam ginać. Dobrze mi się myśli, kiedy krążę – im szybciej idę, tym szybciej myślę – labirynty stwarzały do tego doskonałe warunki. W szkole powstał bardzo dobrze, jak na tamte czasy, zaopatrzonej sklep z materiałami niezbędnymi do pracy. Właściwie nie chciało mi się ze szkoły wychodzić. Często korzystałam z dostępności pracowni po godzinach zajęć i lubiłam być tam sama. To właśnie poza zajęciami i poza programem nauczania powstały obrazy, które otworzyły mi moją własną drogę i przestrzeń malarską. Był to niezwykle ważny dla mnie czas. Na Wydziale Tkaniny i Ubioru, na którym studiowałam,



Portret Magdaleny Moskwy, 2007 rok (fot. arch. artystki)

było dużo ciekawych pracowni, w których można było nauczyć się podstaw i realizować własne projekty w dobrze wyposażonych warsztatach. Nie zdołałam skorzystać ze wszystkich interesujących mnie możliwości. Chętnie bym jeszcze postudiowała konstrukcję ubioru i projektowanie obuwia.

Własna, często bezkompromisowa postawa artystyczna, typ wyobraźni, oryginalny styl wpisane są w etos twórczości. Czy można było jednak pogodzić indywidualizm z formami integracji studentów? Na pewno były bliższe przyjaźnie, ale czy spotykaliście się w większych grupach, gdzie spędzaliście czas poza uczelnią, czy mieliście jakieś ulubione miejsca w mieście?

Studenci spotykali się w klubach „Dada”¹, „La Strada”, w pobliskiej restauracji „Stylowa”, zwanej przez nas „stylonową” i oczywiście w klubie szkolnym na ostatnim piętrze, gdzie można było zjeść kanapkę i posiedzieć przy stoliku. Chodzili na znany ze swojego nastroju cmentarz żydowski, który znajduje się blisko szkoły. Ulubionym miejscem był Księży Młyn, który w tamtym czasie wyglądał jak cmentarzysko pustoszejących fabryk. Studenci byli świadkami i uczestnikami wielu zainicjowanych tam przez artystów wydarzeń, które na trwałe zapisały się w historii, a które miały miejsce m.in. w Muzeum Artystów i Muzeum Książki Artystycznej. W Łodzi przez całe lata trudnego przełomu artystów integrowali się we wspólnych oddolnych działaniach i musieli organizować się sami – często była to jedyna możliwość zaprezentowania swojej twórczości. Była to praca od podstaw, najczęściej trzeba było zacząć od wielkiego sprzątnięcia pozostałości po wcześniejszych użytkownikach fabryk i kamienic. Jeszcze do nie tak dawna artyści w Łodzi byli jak brygady sprzątające i odczarowujące energią swoich działań, nisko wibrujące, opuszczone miejsca, w których dzisiaj znajdują się luksusowe lokale użytkowe i apartamenty. Daliśmy temu miastu mnóstwo pięknej energii.

Jak wyglądały zajęcia w PWSSP kilka dekad temu? Czy profesorowie mieli znaczący wpływ na kształtowanie osobowości twórczej? Czy miała Pani swoich mistrzów?

Studenci byli raczej zdyscyplinowani i było dużo pracy poza zajęciami. Wykładowcy byli wymagający. W czasie, gdy ja studiowałam, było bardzo trudno dostać się na studia. Pamiętam, że było ok. siedmiu osób na jedno

¹ W obecnej Mediatece przy ulicy Moniuszki jedna z sal na pamiątkę klubu nosi nazwę DADA

miejsce. Studiowaliśmy wg programu, na który duży wpływ miał konstruktywizm i „Teoria widzenia” Władysława Strzemińskiego – to była lektura obowiązkowa. Te wpływy zaznaczały się najsilniej w pracowni podstaw kompozycji. To była jedna z moich ulubionych pracowni, ćwiczenia były dosyć trudne, ale bardzo rozwijające. Profesorowie mieli znaczący wpływ do tego



Bez tytułu, 1993 r., płótno, olej, 64/54cm (Magdalena Moskwa)

stopnia, że patrząc na obraz można było odgadnąć, w której pracowni autor obrazu studiuje. W czasach, gdy studiowałam nie było łatwo wyrwać się spod tego wpływu. Ja zdecydowanie wyłamalam się z obowiązującego w szkole nurtu, a moja wizja nie spotkała się z przychylnością wykładowców. Ja jednak byłam wtedy jak wulkan w początkowej fazie erupcji i nic nie mogło mnie powstrzymać przed uwalnianiem obrazów kłębiących się w mojej głowie. Zignorowałam rady i ostrzeżenia. Pomimo przeszkód i ogromnego stresu nie zdradziłam mojej wizji. Z perspektywy lat widzę, że tamten czas był dla mnie czasem wielkiej próby, z której dużym kosztem, ale wyszłam zwycięsko, która mnie wzmocniła i przygotowała do tego, z czym musiałam się zmierzyć po studiach. Od trzeciego roku realizowałam właściwie dwa programy: uczelni i swój własny. Nie przepadałam za obowiązkowymi korektami, zwłaszcza w obszarach, gdzie w mojej ocenie powinienam mieć całkowitą wolność wypowiedzi twórczej. Miałam bardzo silną potrzebę zaznaczania swojej indywidualności. Mistrzów nie miałam i nie szukałam, miałam bardzo silną intuicję, że wszystko jest we mnie, muszę to tylko wydobyć. Pod koniec studiów usłyszałam, że pomyliłam szkoły, że powinienam studiować w Akademii Sztuk Pięknych, a nie w łódzkiej PWSSP, która w tamtym czasie, zwłaszcza na Wydziale Włókienniczym, była przede wszystkim szkołą projektowania i kształciła według programu niedającego mi wystarczająco dużo swobody twórczej. Z perspektywy czasu jestem jednak zadowolona, że studiowałam właśnie w tej szkole. Najwięcej rzeczy, do których nie doszłabym sama, nauczyłam się właśnie w pracowniach projektowania.

Zastanawiam się, czy niełatwe czasy, rozmaite trudności i ograniczenia mogą mieć wpływ na generowanie głębszych pokładów kreatywności albo determinować emocje, wyrażane w dziełach sztuki. A może wyobraźnia każdego z artystów jest wolna i nie podlega presji otaczającej nas rzeczywistości? Pytam w kontekście wszechobecnej dziś komercjalizacji i utylitarności wielu dziedzin artystycznych, bo wydaje się, że Pani twórczość przez lata jest konsekwentna, a wyobraźnia nieskrępowana.

Z mojej perspektywy trudności i ograniczenia miały ogromny wpływ, mobilizowały do poszukiwań, wyzwalały bunt, wolę walki oraz wyobraźnię, która często była ucieczką od szarej rzeczywistości. Jesteśmy odbiornikami i nadajnikami, przetwarzamy informacje, raczej nie ma możliwości, żeby to, co nas otacza nie miało wpływu na naszą wyobraźnię i emocje. To, co przychodzi z zewnątrz



Bez tytułu, 1994 r., płótno, olej, 100/70cm
(Magdalena Moskwa)

pełni rolę bardzo istotnych wyzwalaczy. Mnie ukształtowały twarde warunki. Żyliśmy w ograniczeniach, teraz żyjemy w nadmiarze. Ma to swoje dobre i złe strony. Kiedyś łatwiej było się skupić. Niedostatki w różnych obszarach wzmagały inwencję. Do informacji trzeba było się dokopać. Wybrane dzieła znaliśmy z jednorazowego pokazu slajdów albo kiepskiej jakości reprodukcji. Świat nie był tak otwarty. Wiele zmienił Internet, umożliwiając łatwy dostęp i przepływ informacji. To, co można tam znaleźć jest atrakcyjną i inspirującą pożywką, ale też mamy wrażenie, że wszystko wymyślili już inni, co zniechęca do własnych poszukiwań i rozprasza. Myślę, że to może być trudne zwłaszcza na początku drogi.

Młodzi twórcy przeglądają tysiące podrzucanych przez algorytmy obrazów, które zostały wytworzone przez innych ludzi i programy, co często skutkuje bezrefleksyjnym, a nawet nieświadomym zawłaszczaniem i miażdżeniem oraz narzuca sposób patrzenia na świat. Dodatkowo zmieniła się sytuacja ekonomiczna. Kiedy ja zaczynałam, rynek sztuki w Polsce dopiero raczkował. Sytuacja twórców w Łodzi była dramatyczna. Rzeczywistość brutalnie weryfikowała, przetrwali tylko najbardziej zaangażowani i najsilniejsi, dla których twórczość była pasją i aktem bezinteresownym. Twórczość nie przynosiła dochodów, więc musieliśmy ciężko pracować na skromne utrzymanie i luksus tworzenia. Obecnie dostęp do informacji, możliwość szybkiego zaistnienia na szerszym forum, pieniądze i sieć powiązań sprawiły, że artystom żyje się łatwiej i wielu dosyć szybko osiąga rozpoznawalność i sukces. To zachęca innych do działań interesownych, odpowiadających na określone zapotrzebowanie i obliczonych na szybki efekt. Jeśli o mnie chodzi, to już na studiach miałam silną wizję i określony obszar zainteresowań. Jak każda osoba tworząca, która taką wizję posiada, spokojnie podążam swoją drogą i rozwijam w procesie twórczym.

Czy ma Pani kontakt ze studentami czy absolwentami łódzkiej ASP, reprezentującymi nowe pokolenie? Pomijając rolę nowoczesnych narzędzi, możliwości ich wykorzystania na gruncie sztuki, czy sposób podejścia do twórczości młodych ludzi jest zupełnie inny niż 30-40 lat temu?

Nie mam kontaktu ze studentami. Kilka lat temu byłam jurorką w Konkursie im. Władysława Strzemińskiego. Bywam na wystawach studenckich. Widzę, że studenci mają dużo więcej swobody w wyrażaniu emocji, własnych światów i zainteresowań, niż wtedy, kiedy ja studiowałam. Oczywiście uważam, że to słuszny kierunek, zwłaszcza w szkole artystycznej, gdzie specyficzna wrażliwość, wyobraźnia i indywidualne podejście, powinny być szczególnie pielęgnowane.

Łódź postrzegana jest jako miasto awangardy z uwagi na niepowtarzalny postindustrialny klimat, wielokulturowość, oryginalne architektoniczne otoczenie, rewolucyjne, buntownicze zapędy i artystyczne tradycje, choćby w osobie patrona ASP – Władysława Strzemińskiego. Czy nasze miasto było inspirujące dla Pani, czy ukształtowało fragment osobistego widzenia świata?

Tak, klimat tego miasta na pewno był dla mnie inspirujący, zwłaszcza na studiach i zaraz po nich. To była zupełnie inna Łódź niż ta, którą znamy teraz. Była jak ciężki sen, biedna, szara, smutna, ale pełna hipnotyzującego uroku. Nic nie było jak trzeba, a jednak w całości wszystko się zgadzało. Było w tym trudne piękno i goła prawda. Nie było pieniędzy, ani energii na stwarzanie pozorów. Jeśli chodzi o moje wczesne obrazy to często słyszałam, że maluję dziwnych ludzi, ale ja tych ludzi codziennie mijałam na ulicy, zniszczonych, szarych, o przezroczystych spojrzeniach lub atakujących dzikim wzrokiem, zatrutych tanim alkoholem, odlatujących, próbujących przetrwać. Moje studia i czas po studiach przypadły na lata 90. XX w., czyli moment bardzo trudnej dla Łodzi transformacji. Wielu mieszkańców utraciło pracę i dochody. Ludzie nie potrafili się odnaleźć, żyli nędznie. Miasto było bardzo zniszczone i zaniedbane, straszło opuszczonymi fabrykami i sypiącymi się kamienicami. Przyjechałam na studia do Łodzi z małego miasteczka, w którym perspektywy były jeszcze mniejsze i Łódź wydawała mi się, pomimo wszystko, pełna atrakcji i możliwości. Zaraz po studiach wiele osób wyjechało z Łodzi do Warszawy, gdzie były większe możliwości znalezienia pracy. Ja zostałam. Moja młodość



Bez tytułu, nr 89, 2018 r. – zaprawa kredowa, rzeźba (Magdalena Moskwa)

nie była zbyt radosna, o wszystko musiałam walczyć na poziomie przetrwania, byłam zmęczona, ale miałam pasję i nadzieję. Wiele razy zastanawiałam się, co zatrzymało mnie w tym mieście. Zrozumiałam, że byłam dobrze dostrojona do Łodzi – byliśmy w podobnej kondycji.

Skąd płyną zatem Pani twórcze inspiracje i różnorodność środków wyrazu od malarstwa, poprzez tkaninę, projekty ubiorów, haft, fotografię, instalacje artystyczne? Główny styl artystyczny i estetyczna wizja zrodziła się już na studiach w PWSSP?

Jeśli chodzi o tkaninę, to moją wiodącą pracownią była Pracownia Projektowania Tkaniny Drukowanej, prowadzona przez prof. Marię Zielińską. Bardzo lubiłam projektować tkaniny i realizować je na warsztatach w pracowni sitodruku. Po studiach chciałam pracować jako projektantka, ale właśnie zlikwidowano większość fabryk w Łodzi. Swoje projekty wykorzystuję do dziś w kolekcji ubrań unikatowych, nieco zmodyfikowane znalazły się w tłach moich obrazów. Haftu uczyłam się jako młoda dziewczyna od przyjaciółki rodziny w moim rodzinnym miasteczku. Przekazała mi tajniki haftu białego, potem rozwijałam umiejętności sama. Wykorzystałam haft w swojej pierwszej



Bez tytułu 1994–2004 r. płótno, olej, 91/72cm (Magdalena Moskwa)

kolekcji ubrań unikatowych, którą poza programem szkolnym, stworzyłam w trakcie studiów. Od tamtego czasu stosuję tę wyciszającą technikę tworząc zielnik. Ubrania unikatowe zaczęłam szyć spontanicznie i traktowałam jako jedną z form wyrazu – w moim odczuciu nie wszystkie wizje nadawały się

na obraz malarski. A fotografią zajęłam się z konieczności dokumentowania swoich prac. Rzeźba wyłoniła się z mojego malarstwa. Głównym źródłem inspiracji jest otaczający mnie realny świat i ludzie – wolę korzystać z oryginalnego materiału źródłowego niż z przetworzonego przez innych twórców, choć niezmiennie inspirowe mnie świeżość spojrzenia, wyobraźnia i skupienie artystów dawnych. Przejawy otaczającej nas rzeczywistości mają nieograniczony potencjał i czekają, żeby każdy z nas odkrył je w sobie tylko właściwy, wyjątkowy sposób. Według mnie, to właśnie gwarantuje oryginalność w sztuce. Inspiracją jest też moje własne życie i interakcje. Oprócz tego interesuje mnie terapeutyczna moc sztuki.

Czy z Pani bogatych artystycznych doświadczeń i drogi twórczej wyłania się jakieś szczególne – a może uniwersalne – przesłanie dla młodych plastyków, obecnych i przyszłych studentów czy rozpoczynających karierę zawodową absolwentów łódzkiej ASP?

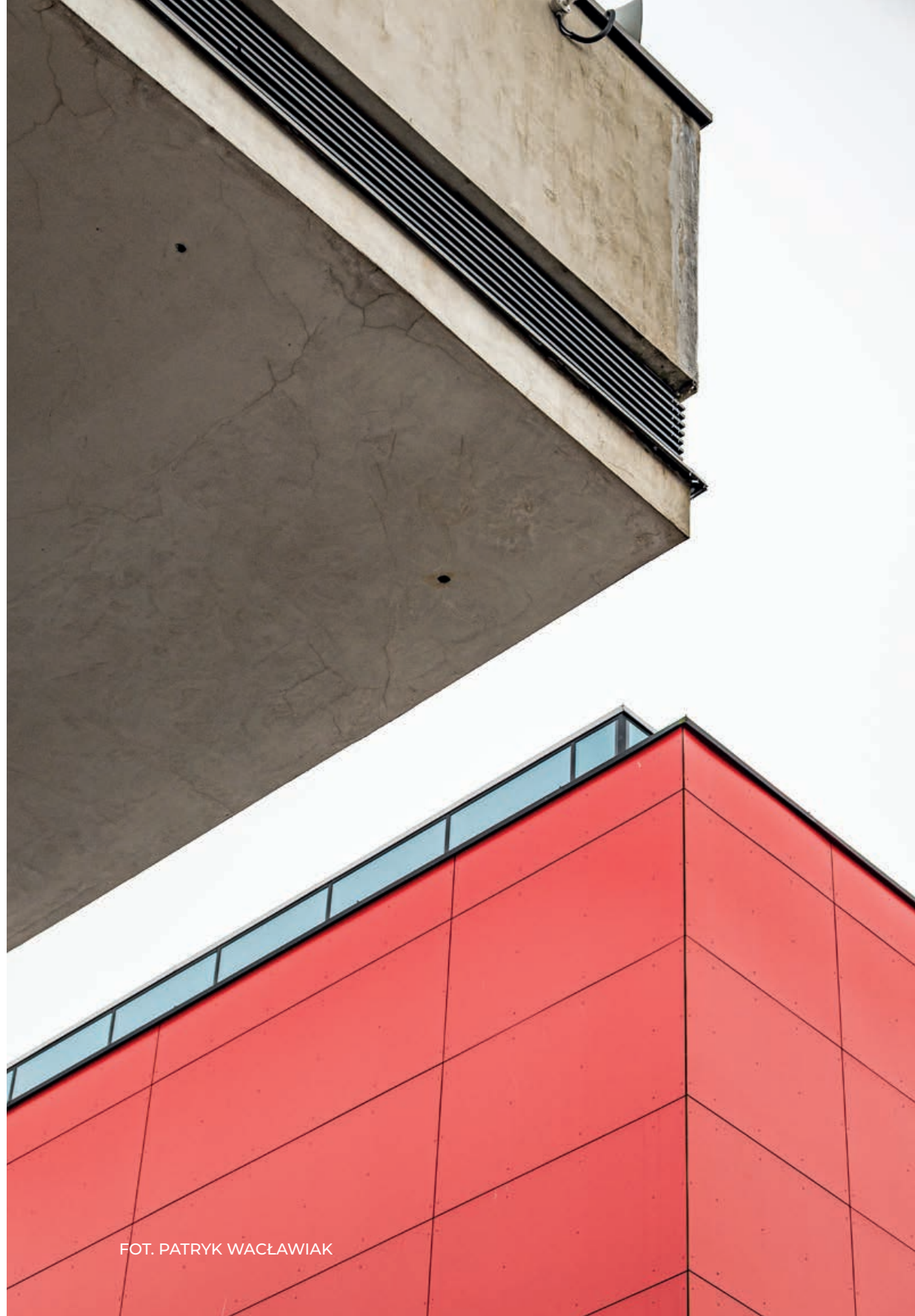
Młodym twórcom życzę odwagi w byciu autentycznymi...



Bez tytułu, nr 92, 2019 r. – relief w zaprawie kredowej, olej, 70/47cm (Magdalena Moskwa)



Ubranie, 1997 r. (Magdalena Moskwa)



FOT. PATRYK WACŁAWIAK



2025